

NR 32
marzec / kwiecień
2001

aleje 3

DWUMIESIĘCZNIK
KULTURALNY
CZĘSTOCHOWY

ISSN 1427-8812 CENA 1 ZŁ

W NUMERZE:

- * Tadeusz
Gieryski
- * Kalina
Jędrusik
- * Andrzej
Kalinin
- * Grażyna
Lubaszka
- * Scena
„Błazen”



5 lutego minęła 70.
rocznica urodzin
Kaliny Jędrusik

PAMIĄTKA z JASNEJ GÓRY



S. TRZCIŃSKI WARSZAWA

REPRODUKCYJA PRAWNIE POSZUKIWANA BĘDZIE

KOŚCIÓŁ JASNOGÓRSKI



Kaleki Polskie przed progiem klasztoru
Jasno-górskiego w Częstochowie
Polsische Bettler vor dem berühmten
Kloster in Czestochau.



JASNA GÓRA PO POŻARZE.

S. TRZCINSKI
w WARSZAWIE
UL. ŻUBIAŃSKA 9

Zakład posiada na składzie wszystkie widoki i wnętrza Jasnej Góry, jako to: główne ołtarze, pamiątki skarbcza, obraz i ołtarz Cudownej Matki Boskiej Częstochowskiej, zdjęte dokładnie z oryginałów przy świetle magnetyjowem w różnych formatach, grupy fotograficzne 00. Paulinow. Sprzedaje fotografie, każdą oddzielnie, oraz w albumach kompletnych ozdobnie oprawnych.

APPROBATUR
Warszawa die 23. Februar 1898
Judex Surrogatus Penitentiae
Metropolitani
R. FLOCHOWSKI
Secretarius
J. POBIELESKI

Nr 1066

Pocztówki pochodzą ze zbiorów Zbigniewa Biernackiego, właściciela Antykwarni „Niezależna” przy ul. Kopernika 4 w Częstochowie. Spotkania otwarte dla kolekcjonerów w czwartki o godz. 18.00.



Arkadiusz Zajac – „Uniesienie” z cyklu „Illuminatus” ołówek, akryl, 2000.

SPIS TREŚCI

co dAlej?	6
Scena Błazen	8
poezja	10
proza	12
krytyka	18
opinie	23
sztuka w mieście	25
dla nieprzystosowanych	27
sztambuch teatralny	28
ogród wspomnień	31
off Broadway	33
z miasta	34
komiks	35
informator kulturalny	36
muzyka	39
list	40
plastyka	41
galeria	44-47

aleje 3

DWUMIESIĘCZNIK KULTURALNY CZĘSTOCHOWY

Pismo finansowane przez
Urząd Miasta CzęstochowyWYDAWCA
Biblioteka Publiczna
im. dra Władysława Biegańskiego
w Częstochowie
al. NMP 22, 42-200 Częstochowa
kontakt: BOGDAN HENNIGREDAKCJA
ul. Równoległa 63, 42-200 Częstochowa
tel. (034) 371 07 89
e-mail: aleje3@emedia.eisp.plRedaktor naczelny
KRYSZTOF PIWOWARSKIZespół redakcyjny:
SŁAWOMIR BURSZEWSKI
ARKADIUSZ ZAJĄCRedakcja tekstów i korekta
ANNA WOLAŃSKARedaktor techniczny
MAREK NIEDOSTATKIEWICZDTP
wydawnictwo
e^{media}ul. Równoległa 63, 42-200 Częstochowa
tel. (034) 371 07 89DRUK
DRUKARNIA **KEMOT**
Częstochowa, ul. Krakowska 45Projekt okładki, layout i opracowanie graficzne
MAREK NIEDOSTATKIEWICZ
ARKADIUSZ ZAJĄCRedakcja zastrzega sobie prawo do skrótów i opracowania
redakcyjnego materiałów przyjętych do druku.

DZIWNY JEST TEN ŚWIAT” – ŚPIEWAŁ kiedyś Czesiek Niemen, a ja dzisiaj mówię – „dziwne jest środowisko artystyczne w Częstochowie”. Mieszka tu dużo ludzi zdolnych, znaczących, wpływowych, ale wydaje mi się, że są wobec siebie jacyś nieufni, ostrożni, aby ten drugi nie podkraśl czasem rąbka z płaszcza sławy. Znam wiele osobistości, które nawzajem się po prostu wykluczają: „jeżeli ten tam będzie, to ja nie”. A może troszeczkę brakuje nam tolerancji dla poglądów otoczenia, szanowni państwo artyści? Przecież nie dopuszczając do siebie świeżych albo odmiennych myśli, powoli zamykamy się w wieży z kości słoniowej, która z czasem zapada się do wewnątrz, zasklepia, kruszeje, w końcu staje się obskurna, zatęchłą norą pełną pajaków i wszelkiego robactwa.

Jak się wczytamy w pamiętniki wielkich twórców, zauważymy, że ich życie prywatne było bardzo banalne, prozaiczne, często ci wielcy borykali się z nędzą, chorobami i niewiernymi kochankami. Anegdotami w ich życiu było spotkanie tego a tego podczas takiej to a takiej kolacji albo w kawiarni lub spelunie przy butelce absyntu. Ich rozmowy miały ogromny wpływ na ich twórczość, czyli to czym fascynują się następne pokolenia. W większych grupach tworzył się ferment, który niejednokrotnie doprowadzał do przewrotów w sztuce, do powstania nowych jakości. Ale w gruncie rzeczy ich egzystencja była prowincjonalna, życie towarzyskie podporządkowane tym samym regułom, co każdego z nas. Nieważne że był to Rzym, Paryż, Londyn czy Berlin.

Od pewnego czasu odczuwam brak w Częstochowie miejsca, gdzie mogli by spotykać się ludzie sztuki – malarze, pisarze, muzycy, krytycy itp. Mówię o lokalu gastronomicznym. Kiedyś był lokal w podziemiach filharmonii, później „Cepelianka”, „Bon Art”, poetów można było spotkać w „Wiedeńskiej”, a aktorów i młodzieżową bohemę w „Red Hocie”. Teraz nie ma miejsca, do którego idąc wiem, że spotkam kogoś znajomego czy kogoś z owego „art.-półświatka”. Różnych pubów jest dużo, ale jakoś żaden nie może przyciągnąć interesującej aczkolwiek specyficznej klienteli. Być może czasy się zmieniły i artyści zamiast spędzać czas na jałowych dysputach przy „kieliszku herbaty”, będą teraz w zaciszu domowym pogłębiać znajomość z komputerem tudzież wielokanałowym telewizorem. Tak czy inaczej twarzą w ekran. Być może to taki styl XXI wieku.

Zacząłem o dziwności i o niej chciałbym zakończyć. Czasopismo artystyczne jest przeważnie odbiciem tego środowiska. Jeżeli jest ono rozbite, mało przyjazne, odgradzone od siebie murami obojętności i ignorancji, to gazeta jego lub o nim też taka będzie. Wszystkich, którzy będą nadal wybrzydzać na „Aleje 3” zapraszam do współpracy. Niech dołożą swoją cegiełkę do wspólnej mozaiki miejskiej kultury. Niech obnażą swoje „ja” przed czytelnikami. Obawiam się jednak, że największych oponentów nie stać na to, gdyż nie lubią oglądać się na zdjęciu lub w lustrze. Pozostaje im więc walka z nieśmiałością. Zapraszam do lektury. ■

S. Burszewski

co dALEJ?

Władysław Ratusiński

Sprawa dalszego istnienia i kształtu „Alej 3” zaprzęta uwagę głównie osób w nich publikujących oraz decydujących o przydziale funduszy. Przez parę lat pismo nie zdołało dotrzeć do szerokiego grona odbiorców. Powstało błędne koło. Pismo się nie sprzedaje m.in. dlatego, że nie ma go w kolportażu. Kilka instytucji kulturalnych, gdzie można o nie pytać, trudno nazwać siecią kolporterów. Nie ma „Alej” w kioskach, bo nakład jest za mały. A nakład jest tak mały – bo pismo się nie rozchodzi, wobec czego wydawca ogranicza nakład jeszcze bardziej.

Czy znaczy to, że „Aleje 3” są niepotrzebne?

Widzę tu dwa zagadnienia. Ogólniejsze: czy Częstochowie potrzebne jest do szczęścia pismo kulturalno-artystyczne? I drugie: czy to mają być właśnie „Aleje”?

Na pierwsze pytanie odpowiadam twierdząco. Bez wątplenia, przy tylu innych potrzebach, Częstochowa może istnieć bez takiego pisma. Ale czy warto zaprzepaszczać szansę kulturotwórczego działania, czy warto zubażać i tak niezbyt bogatą ofertę miasta w tej dziedzinie, rezygnować z forum, jakie może stworzyć tego rodzaju pismo? Czy nie powinno się raczej dołożyć starań, aby częstochowski periodyk kulturalny naprawdę zaistniał w świadomości częstochowian i stopniowo na skalę szerszą, ogólnopolską?

Ale czy właśnie „Aleje 3”? Tu nie mogę być obiektywny, bo poprzednie etapy rozwoju tego pisma nie są mi dobrze znane – zaś od pewnego czasu sam w nim publikuję. Zresztą liczy się subiektywne zdanie.

„Aleje 3” wyrobiły sobie już pewien styl, gdy chodzi o szatę graficzną. Wysmakowane, delikatne w kolorze okładek (na których często można było zobaczyć dzieła wybitnych twórców; Axentowicz i Malczewski, Kępiński i Boruta bardzo się tu dobrze przedstawiali w czerniach, bielach i szarościach), secesyjno-postmodernistyczne,

może czasem zbyt jednostronne w zestawie publikowanych rysunków, ale mające swój klimat. Stałość formy graficznej jest poza tym korzystna dla tożsamości, identyfikacji pisma. Oczywiście, zawsze można eksperymentować, szukać nowej formuły. Pytanie tylko, czy warto czynić to w popłochu, tym bardziej, gdy zmiana jest pozorna. Pozostaje okładka z obrazkiem – tyle że wściekle pomarańczowa, a na niej – inne literki. Zaś całość, jak to ktoś zauważył, przypomina teraz czasopismo techniczne. Jednak słyszałem również zdanie bardzo kompetentnej osoby, krytycznej wobec poprzedniego wyglądu „Alej 3”, że obecna okładka jest dobra, niezmanierowana.

Oczywiście, można się też zastanawiać, czy na przykład nie zrobić z tego bardziej gazety. Kierunki poszukiwań mogą być różne. W każdym razie nie sądzę, by trzeba było na siłę upodabniać „Aleje” do popularnych wydawnictw. Atrakcyjna może być właśnie odrębność.

Podobnie pod względem tekstu. Nie ma sensu spłaszczać wszystkiego do – wykoncypowanego w dodatku – gustu szerokiej publiczności. Mogą być teksty proste, a jednocześnie mądre. Mogą być i bardziej skomplikowane pod względem stylistycznym – byle nie nazbyt hermetyczne czy pseudonaukowe, niezrozumiałe.

Na temat pewnego nurtu literatury zajmującego się łączeniem brutalności, seksu i zbrodni, nastawionego na epatowanie złem już się kiedyś wypowiadałem. Do tego zagadnienia nawiązuje też częściowo mój tekst „Sztuka odpowiedzialności”. Tak się złożyło, że podobna problematyka znalazła odzwierciedlenie w artykułach zamieszczonych w numerze 31 – w recenzji Krystiana Piwowarskiego, wstępniaku Sławomira Burszewskiego (który zresztą ze słów papieża wyciąga wnioski co najmniej dziwne), a także w eseju Tadeusza Gierymskiego. Dłate-

go nie będę jej tutaj rozwijał. W każdym razie, gdy podobna literatura pojawiała się od czasu do czasu na łamach „Alej”, wypadało się tylko cieszyć, że nakład jest tak niski.

Nie sądzę, by było źle, że „Aleje” stawały się pismem literacko-artystycznym, choć oczywiście dawał się odczuć brak innych dziedzin, zwłaszcza muzyki. Życie muzyczne w naszym mieście jest wyraźniej reprezentowane w pierwszym numerze XXI wieku.

Dobrym posunięciem redakcji było zaangażowanie ostatnio fachowej korektorki – językoznawcy.

O „Alejach” czytałem w częstochowskiej prasie opinie bardzo pochlebne i bardzo krytyczne. Porównanie z innymi tego rodzaju czasopismami wychodzącymi w Polsce jest z pewnością pożyteczne. I tutaj zasadniczy problem: czy „Aleje” mają się zajmować tylko sprawami częstochowskimi? Potrzeba dokumentowania tego, co się w Częstochowie dzieje w sferze kultury – jest poza dyskusją. Podobnie jak potrzeba informacji. W dużych ośrodkach dobrze redagowany informator (por. „IKS” - Poznański Informator Kulturalny, Sportowy i Turystyczny) jest sam w sobie interesujący. Tak, ale tam się dużo dzieje. Poza tym – są wydawane pisma, które nie ograniczają się do bieżącej miejscowej informacji kulturalnej. Ambitne i wartościowe periodyki artystyczne i społeczno-kulturalne ukazują się także w mniejszych miastach. W naszej sytuacji szansą byłoby tworzenie takiego pisma, które mogłoby zaistnieć w skali ogólnopolskiej. Tego nie da się osiągnąć, zajmując się wyłącznie tematyką lokalną, choćby dla nas najważniejszą. Chyba, żeby próbować podnosić lokalne do rangi uniwersalnego – co może być ciekawe. Tak czy inaczej – jestem przeciwny apriorycznemu ograniczaniu tematyki do tego, co się dzieje w Częstochowie, także – i przede wszystkim – ze względu na zainteresowania i potrzeby czytelników.

Bardzo podobny problem powstał parę lat temu w odniesieniu do Miejskiej Galerii Sztuki. Jako zarzut stawiane było urządzanie wystaw artystów spoza Częstochowy(!). Zmiany w funkcjonowaniu galerii miały polegać na ograniczeniu by służyła ona środowisku częstochowskiemu. Nie sądzę, by takie podejście było całkiem słuszne. Właśnie ze względu na częstochowskie środowisko artystyczne i częstochowską publiczność warto urządzać wystawy przedstawiające wybitną twórczość spoza naszego miasta. (I to się zresztą robi – przykładem może być najnowsza ekspozycja Triennale Grafiki „Intergrafia”.) Naturalnie, nie można

pomijać prezentacji środowiska częstochowskiego. Trzeba tu zachować dobrą równowagę.

Podobnie ma się rzecz z „Alejami”. Chyba, że chodzi tylko o dotowany biuletyn Wydziału Kultury. Może być i tak. Cóż – „płacę, żądam i wymagam”. Nie sądzę jednak, by taka postawa, takie działanie na własną szkodę – chęć sprowadzenia „dwumiesięcznika kulturalnego Częstochowy” do roli urzędowego biuletynu – miały charakteryzować obecnych sponsorów „Alej 3”. Domyślam się, że wspomniane sugestie władz są wywołane troską o uatrakcyjnienie pisma i właściwą promocję naszego miasta. Tyle, że efekt może być odwrotny od zamierzonego.

Jeśli zaś chodzi o uniknięcie chaosu i pisania o wszystkim – jest na to sposób. Porządkującą funkcję spełniają stałe działy pisma. Oprócz tego można przecież od czasu do czasu wydawać numery tematyczne, w których obok bieżącej informacji zawarte byłyby bardziej dogłębne rozważania dotyczące wybranych zagadnień.

A więc – „Aleje 3”? Tak! Co bynajmniej nie oznacza, że nie może być konkurencji w tej dziedzinie. Jeśli ktoś chce, czuje się na siłach, ma pomysły i możliwości – proszę bardzo! Ale nie warto – dla samej zmiany – niszczyć tego, co już zaistniało i może się rozwijać, jak myślę, w dobrym kierunku.

Programowa ostrość nie jest dla mnie najważniejszą postawą w dziedzinie krytyki – także artystycznej. Trzeba umieć zauważać to, co dobre. Można nieopatrznie napisanym słowem zaszkodzić, gdy czytelnik przyjmuje wyrażoną opinię jako obiektywnie słuszną tam, gdzie jest miejsce dla subiektywnego sądu. Czasem lepiej nic nie mówić... Muszę jednak przyznać, że w tym przypadku zachęta sponsorów i wydawców „Alej” do „wkładania kija w mrowisko” okazała się inspirująca.

Jeszcze jedna uwaga, nawiązująca do problemów poruszonych w moim artykule „Czekając na Galerię” (poprzedni numer „Alej 3”). Z przyjemnością odnotowuję tu dobrą wiadomość podaną w dzienniku radiowym, a dotyczącą częstochowskiego Muzeum. Ma być – po przeprowadzonym remoncie – udostępniona zwiedzającym ekspozycja muzealna górnictwa rud. A więc chodnik kopalniany w Parku Staszica nie został zniszczony! Teraz czekam na wiadomość, że Galeria Malarstwa Muzeum Częstochowskiego otwiera podwoje swej stałej siedziby, w której będzie eksponowana, zebrana w Muzeum w ciągu dziesięcioleci, kolekcja polskiej sztuki XX wieku.



Tomasz Kmiecik

MAMY W MIEŚCIE WIELU TWÓRCÓW o uznanym dorobku, artystów o dużym potencjale twórczym, organizatorów zdolnych do stworzenia imprez o randze ogólnopolskiej, a nawet zauważanych w Europie (np. festiwal „Gaude Mater”). Z drugiej strony widać brak tego, co zwykle się określa mianem środowiska kulturalnego, bo trzeba pamiętać, że środowisko to nie zespół twórców i artystów, lecz forum dyskusji o treściach kultury. W naszym mieście istnieje forum dyskusji, ale dyskusja dotyczy tego jak dotrzeć do mieszkańców, jakie „wydarzenie” może uzyskać powodzenie i podnieść rangę kulturalną ośrodka. Dyskusja ta nie ma jednak nic wspólnego ze środowiskiem kulturalnym, a raczej ze środowiskiem organizatorów i wydaje się być prostą kontynuacją polityki władz miasta troszczących się o dobry wizerunek grodu w skali ogólnopolskiej.

Taki wizerunek z pewnością tworzą duże wydarzenia, w których biorą udział artyści i twórcy o uznanych nazwiskach. Konsekwencją powyższego jest brak średniego szczebla kultury, bez którego wielkie wydarzenia z lekka tracą sens. Wielu artystów i twórców niejako naturalnie zaczęło myśleć bardziej nad stworzeniem kolejnego spektakularnego wydarzenia, co jest wynikiem panującego przekonania o jedynej drodze do sukcesu, który jawi się jako impreza z dużym rozmachem organizacyjnym i znanymi nazwiskami na afiszach. Takie myślenie zawsze będzie zamykało wolną twórczość, ograniczało treści i powodowało rozděcie formy.

Scena „Błazen” jest próbą stworzenia miejsca rozmowy nie o formach kultury, lecz o jej treściach. Jest miejscem spotkań artystów, którzy **NIE DAŻĄ** do:

- wyartykułowania zamierzeń realizacyjnych reżyserów,
- dosłownej i akademickiej realizacji tekstów poetyckich,
- zabawienia widza za wszelką cenę,
- pokazania wysokiego poziomu warsztatu aktorskiego bądź wokalnego.

W zamyśle Scena „Błazen” jest miejscem spotkań artystów starających się używać warsztatu scenicznego do przekazania własnych, autentycznych postaw opartych na osobistym doświadczeniu i wrażliwości. Miejscem spotkań ludzi starających się pokazać na scenie nie tylko to, co potrafią, ale przede wszystkim powiedzieć **KIM SĄ** i opowiedzieć widzowi o swoim postrzeganiu rzeczywistości.

Będzie to również miejsce spotkań częstochowskiego środowiska artystów i twórców z artystami z całego kraju, którzy starają się prezentować na scenie swój indywidualny sposób wypowiedzi. ■

Tomasz Kmiecik

SCENA OTWARTA

2.10. ubiegłego roku w sali widowiskowej OPK „Gaude Mater” zainicjowała swoją działalność Scena „Błazen”. Pomysłodawcą i realizatorem cyklicznych wieczorów artystycznych jest muzyk i kompozytor Tomasz Kmiecik, który podjął się trudnej roli konferansjera. Czynił to z wyczuciem, luzem i lekkim rozkojarzeniem, charakterystycznym dla umysłów twórczych. Sam nazywał się „antykonferansjerem”. Scena „Błazen” jest otwarta, tzn. że może wystąpić w niej każdy i wypowiedzieć się we własnym imieniu. Nie wystarczy umieć mówić. Należy pamiętać o słowach reżysera Erwina Axera, które są mottem Sceny: „Moim marzeniem, również w teatrze, jest to, żeby wychodzić na scenę, jeśli ma się coś do powiedzenia...”

CZAPKA Z DZWONECZKAMI?

Dziennikarze z lokalnej prasy, zasugerowani nazwą Sceny, błędnie określili ją jako „Scenkę kabaretową”. Trudno się z tym zgodzić, ponieważ symbolem poniedziałkowych spotkań nie była „czapka z dzwoneczkami”. Błazen może się kojarzyć z żartem, wesołością, śmiechem, ale to przede wszystkim artysta naznaczony wrażliwością, wnikliwy obserwator świata i ludzi. I jak mówi Tomasz Kmiecik: „Brakowało błazna w naszym mieście”.

Twórcy, którzy związali się ze Sceną „Błazen” są muzykami, poetami, aktorami, piosenkarzami, satyrykami. Niektórzy zdecydowali się odsłonić twarz nieznaną szerszej publiczności – np. Agata Ślęzyk zaprezentowała swój wiersz, Piotr Tarnowski ujawnił się jako autor tekstów piosenek (śpiewanych przez Magdę Syposz). Na Scenie pojawili się śpiewający aktorzy na co dzień występujący w teatrze im. A. Mickiewicza: Czesława Monczka i Boniek Dymarczyk. Artyści, o których słuch ostatnio w Częstochowie zaginął, specjalnie dla Sceny „Błazen” odkurzyli swój repertuar. Poeci wprowadzali widzów



Czesława Monczka

Agata Ślęzyk śpiewa „Nie wierzysz kiedy mówię Kocham”. Piosenka jest bardzo dynamiczna. Piotr Tarnowski tradycyjnie odczytuje trzy wierszydła; uwaga kobiety: jeden antyfeministyczny! Boniek Dymarczyk opowiada o nowym gatunku muzycznym: PIOSENKA O MIŁOŚCI PERWERSYJNEJ. Dowód? – „Ballada szalenie przedmiejska” z echemi sadyzmu i tango „Zauroczenie”. Na zakończenie kolęda do słów Ernesta Brylla w wykonaniu Czesławy Monczki i Tomasza Kmiecika.

Gościem wieczoru, a zarazem gwoździem programu, jest chodząca rudowłosa energia Dominika Kurdziel (znana zapewne widzom „Wywiadu z wampirem”). Dominika świetnie potrafi nawiązać kontakt z publiką. W dodatku sypie żartami jak z rękawa i opowiada humorystyczne scenki z życia wzięte. Jej piosenki (np. teksty Moliera albo Wiesława Dymnego) naprawdę docierają do słuchacza. Ach, ten wspaniały, lekko zachrypnięty głos! Wiecie dlaczego gruba kobieta jest praktyczna? – W zimie ogrzeje, w lecie duży cień daje – mówi Dominika. ■

Wioletta Grzegorzewska

w nastrój zadumy, a satyrycy Włodek Grabowski i Marcin Król byli sprawcami gromkiego śmiechu na widowni. Jednak największe ożywienie wywoływały występy artystów przyjezdnych. Wojtek Gęsicki, Robert Kasprzycki i Dominika Kurdziel byli nagradzani brawami i bisowali na życzenie publiczności.

Okazało się, że w Częstochowie potrzebna była taka inicjatywa. Co drugi poniedziałek sala OPK „Gaude Mater” pękała w szwach. Scena „Błazen” sprawiła, że odżył nasz światek artystyczny. Być może poniedziałkowe wieczory są początkiem nowych zjawisk i pomysłów twórczych. Miejmy nadzieję, że Scena zintegruje, a nie podzieli środowisko artystyczne. Może wreszcie przycichną dawne kłótnie i znikną zawiści, które zauważałam parę lat temu zwłaszcza w gronie literatów.

SIÓDME SPOTKANIE

8.01.2001. Pierwsze spotkanie w nowym tysiącleciu. Tomasz Kmiecik wprowadza nazwę dla piosenki literackiej i poezji śpiewanej – piosenki „nieobojetne” (według Andrzeja Lewandowskiego). Na scenie pojawiają się debiutanci: zespół „Edek i Kredki” (...) i student Łukasz o tajemniczym

pseudonimie „Kwiaty w armacie”. Kasia Matejczyk eksperymentuje. Nigdy nie grała na fortepianie, ale podczas trzymiesięcznego pobytu w Irlandii miała okazję poćwiczyć na rozstrojonym instrumencie. Sergiusz Orłowski śpiewa swój „dwutygodniowy” utwór, a Rafał Nowakowski wykonuje piosenkę adresowaną do Boga. Jak zwykle w świetnej formie muzycznej



Kasia Matejczyk

Osiemnastoletnia dziewczyna przynosi swe juvenilia poetyckie. Nigdy nie drukowała. Zresztą nie ma jeszcze matury. Czytam kilkanaście kartek. I już niemało wiem o wierszach młodziutkiej twórczyni. To nie grafomania zakochanej (tak zwykle bywa) panny, ale zalążek poezji, której sens zdaje się autorka intuicyjnie wyczuwać (wyrażać to, co niewyrażalne).

Wyliczamy pozytyw debiutanckich wierszy Agnieszki Korn. Przede wszystkim wysoka kultura języka, co u najmłodszego pokolenia rzadko się zdarza. Dodajmy wyjątkową zwięzłość wypowiedzi, dyskretne wyrażanie uczuć. Autorka posługuje się w tym przypadku elipsą, apozjopezą, skróconym zdaniem tak surowo, że niektóre wiersze są epigramatami.

Stosunek Agnieszki do rzeczywistości zewnętrznej? Czujny, nieufny, lecz delikatny, jakby świat dopiero lekko dotykała, przyglądała się życiu ze wszystkich stron. Autorka nie formułuje wniosków, lecz szuka, bada, opukuje to, co nazywamy Istnieniem.

Agnieszka Korn nie unika opisu nawet w swych krótkich impresjach. Myślę jednak, że siłą licealistki będzie refleksja, poezja intelektualna. (y)

* * *

jestem dawcą
nie – nerek
nie – krwi
bez przymusu
nie – zwyczajnie
nie – z wypadku
nie – z przypadku
choć (być może)
przez przypadek
zwykły, niezwykły...
częstkę serca
zostawiłam
sąsiedniej ulicy
temu oknu
zza którego
widać tylko
twoje oczy...

* * *

tam gdzie mnie nie ma
życie toczy się dalej
trawa rośnie
tam gdzie mnie nie ma
milczy dąb stuletni
liściem drzy
tam gdzie mnie nie ma
cisza złociej
wśród chmur
i wszystko to tam
to tu
gdzie mnie nie ma

* * *

zamyśl się czasem
nad piaskiem pustyni
rozgrzanym przez słońce
rzucanym przez wiatr
bez stałego miejsca zamieszkania
wizy
karty stałego pobytu
tymczasem...
poddawaj się tchnieniom
leć!
nie bój się marzeń
o przestworzach...
leżąc wśród tłumów
takich jak ty
na jednej z wydm
pustyni świata...

ANIOLY

* * *

trafiliśmy na siebie
jak kosa na kamień,
spotkaliśmy,
nadgryźliśmy się wzajem
posmakowało...
chleb – dobrym jest
lecz z dodatkami...
a one były za drogie...
teraz chodzimy
osobno po ziemi
jak dwie połówki
czerstwej grahamki

Anioły –
– stróże opierzone
świat was nie widzi
niewielu wie
I ja zapominam,
moja ćmo niebieska,
że podtrzymujesz mi rękę
kiedy piszę...

* * *

Jak liście zielone
byliśmy tej zimy
nie znając śniegu
ni szklatego lodu
Zlecieliśmy z drzewa baśni
(zakurzonej czasem)
W świat realny wpleść chcieliśmy
niemożliwość
Tylko w ślepych zapatrzeniu
wpadliśmy w przerębel

turniej jednego Wiersza

**Wiersz nagrodzony
w Turnieju Jednego Wiersza 20.12.2000**

RENATA ZARYCHTA

MA PRAWO

Do bułek, mleka z pobliskiego kiosku
Dwa procent tłuszczu na śniadanie
Rozchodzi się po kościach
Do posiwiątych sukienek
Z zapachem szaf w kołnierzach
Do grubych rajstop
Z piętą godną Achillesa
Do miejsc siedzących
Dumnie prezentuje profil
Wszystko w porządku
Staromodny
 Kapelusz
 Torebka
 Anioł
Zawczasu posypują się popiołem

Zwycięzca turnieju 31.01.2001

AGNIESZKA KORN

* * *

Oto jest świat:
Harmonia w rozkładzie
Spokój w rozstroju nerwowym
Natura w puszcze coca-coli
Zapach drogich perfum na wysypiskach
Tolerancja z rasizmem idąca pod rękę
Gonitwa bez końca
Cel, który gdzieś się zapodział
Miłość... zadzwoń: 0-700...

Mimo wszystko –
Jest pięknie!
A to co wyżej –
To prawda-nieprawda...

wyróżnienie

MAŁGORZATA MATERA

DRWAŁ

Drwałowi z Annolesia

Anonimowy jestem
Pośród zbłąkanych dźwięków

Szept zaspanych wilgocią P a p r o c i
Pozwala mi wsłuchać się w siebie

Choć

Z dała pomruk bogobojnego D ę b u
Naucza cudzych historii

B r z o z y panienki szemrają wzdychają
Kokietki...

Jeszcze

Pijana rosą S o s n a
Wierzchołkiem zatacza się bełkocze

I nie przeszkadza jęk wiatru
Rozdartego między igiełkami
Skowyt i zawodzenie przeczucie egzekucji

Bo słowa
Wyrastają jak liście
Na których zapisuję
Wyroki dla L a s u

Grzech życia

Andrzej Kalinin

Nie mógł spać. Którą to już noc z rzędu wpatrywał się w półmrok szpitalnego korytarza, podobnego w mrokach i cieniach do rzecznej przystani. Łóżka jak łodzie przycumowane na czas sztormu, stały rzędem pod żaglami białych parawanów.

Był to czas trwania w spokoju i pozorowanej uldze, chwile błogosławionej ciszy nim wrośnięty w mózg ropień przestanie reagować na podane wcześniej antybiotyki i zacznie się następny ból.

Świtało. Na dworze, za oknami budynku, pierwsze ptaki zaczynały swoje poranne świergoty. Gdzieś w końcu korytarza zaterkotał dzwonek i ktoś głośno trzasnął drzwiami. W chwilę potem siostra zakonna wtoczyła na salę wózek z medykamentami. Zaczynał się zwyczajny, szpitalny dzień.

– Mam dla ciebie śniadanie, synku – powiedziała zakonnica wieszając u wezłowia łóżka plastikowy pojemnik do połowy wypełniony żółtawą, mętną cieczą.

– Ułóż się wygodnie i bądź cierpliwy – dodała podłączając chorego do lekarstwa. – Poszukamy tylko odpowiedniej żyły i zaraz poczujesz się lepiej – mówiła ujmując w palce igłę zamocowaną na końcu przezroczystej rurki.

Nie czuł ukłucia, ale słyszał jej głos, gderliwy, matczyńnie serdeczny:

– I to ma być sportowiec, atleta. A gdzie ty masz żyły, synu?

Lubił tą starą zakonnice. Jej głos trochę ochrypliwy, trochę poufały, miał w sobie ton życiowej tolerancji i nutkę serdecznej troski.

– No widzisz, nie jest wcale tak źle – zawołała zadowolona, przebijając igłą pergaminową skórę pacjenta. – Żyła się znalazła.

– Siostra się nie boi? – zapytał ją wtedy. – Przecież siostra wie, że ja...

– Cicho, smarkaczu – odpowiedziała ostro i pokazała mu krzyż zawieszony na swojej piersi.

– Tak nie wolno mówić do zakonnicy, zwłaszcza przy szefie. Rozumiesz?

Ból pomału ustawał. Morfina dawała krótkie chwile wytchnienia, choć nie pozwalała zapomnieć o cierpieniu. Ile jeszcze będzie tej ciszy: trzy, cztery godziny? Sama myśl o tym okazywała się bólem. Znowu przejmujący ucisk obejmie głowę, sparaliżuje zmysły, spręży ciało.

Kiedy to się zaczęło? Chciał ten moment umiejscowić, określić w czasie, wygrzebać z pamięci, ułożyć w zdarzenia.

Zawody w Sztokholmie. Tak! Na pewno! To była właśnie ta chwila, od której zaczęło się ostatnie odliczanie.

Spiker wzywał ich właśnie na podium. Zawieszony u sufitu głośnik komunikował:

– W stylu wolnym do 100 kg zwyciężył Janusz Brze...minsky – usłyszał wypowiedziane z cudzoziemska swoje nazwisko.

Wskoczył na pudło i w geście triumfu uniósł obie ręce do góry. Był szczęśliwy aż do zawrotu głowy. Pierwszy raz zwyciężył w ważnych międzynarodowych zawodach. Zaczynał dopiero karierę sportową więc wszystko, cały świat stał przed nim otworem. Nagle stał się ulubieńcem działaczy. Na bankiecie wydanym na cześć zwycięzców klepali go po ramieniu, obiecywali kolejne zagraniczne starty, proponowali brudzia.

– Gratuluję, mister Janusz – usłyszał w pewnym momencie prawie poufały szept. Przystojna cudzoziemka opuściła właśnie grupę swoich rodaków i stanęła obok niego.

– Jestem z prasy – powiedziała. – Proszę o wywiad. Najlepiej chodźmy w jakiś spokojny, ustronny kąt, gdzie nikt nam nie będzie przeszkadzał.

Nie była piękna, ale jakaś taka zwyczajna, nawet pospolita, więc dlaczego zaszaleli wtedy, zagubili się w sobie na kilkanaście godzin?

Ranek obudził go w pustym, hotelowym pokoju. Przetarł oczy i próbował przypomnieć sobie tamtą dziewczynę.

– Zjawa – pomyślał. – Zupełnie jak zjawa.

Zaczął szukać w pamięci jej wizerunku, rysów twarzy, głębi oczu.

– Co mnie wtedy porwało? – pytał sam siebie leżąc teraz na szpitalnym łóżku.

Dlaczego tak łatwo zapomniałem o Ewie, o wszystkim co było Ewą? Poczł jakiegoś dławienie w sobie, w gardle i wilgoć w oczach. Nie lubił tych swoich nagłych rozczeń nad sobą, ale już z nimi nie walczył, nie zarzucał sobie, że są niemęskie.

Te chwile „rozklejania się” po prostu przynosiły mu ulgę.

Spojrzał na krzyż na ścianie.

– Boże, czy potrafisz mnie jeszcze wysłuchać? – pomyślał. – Takiego kłamliwego gnojka potrafisz wysłuchać?... – Usiłował się dźwignąć jak do modlitwy. Obciążony skórą szkielet z trudem uniósł czterdzieści parę kilogramów kości.

– Pomóż Ewie – powiedział cicho w stronę krzyża. – Wysłuchaj mnie, nigdy o nic Cię nie prosiłem, więc ten jeden raz. Zaopiekuj się Ewą i małym Bartkiem. Proszę Cię...

Przerwał modlitwę, bo znowu poczuł nagle dławienie w gardle. Dopiero po chwili zaczął odzyskiwać ostrość widzenia. Powyginała jak w krzywym zwierciadle szpitalna sala z wolna powracała do normalności w liniach i kształtach.

– Pomóż jej...

* * *

Ewa wychodziła ze szpitala załamana. Czuliła na policzku łzę, jedną z tych, które od roku zupełnie nieposłusznie wypływały z jej oczu.

Doktor długo przecierał okulary. Chrząkał, przebąkiwał coś o postępach w medycynie, obracał w palcach długopis nim wreszcie powiedział, że również w jej krwi wykryto przeciwciała HIV.

Dlaczego wtedy poszła prosto na cmentarz? Nie wie.

– Boże, jak on się cieszył z narodzin dziecka. Godzinami wystawał w marcowej słońce pod oknami porodówki, by wyczekać syna. Aż wyczekał Bartka. Jak to było niedawno. Boże, jak niedawno – pomyślała i znowu ta nieposłuszna łza...

Bartek siedł obok trzymając ją za rękę i jakby intuicyjnie rozumiał powagę zdarzenia.

– Idziemy do tatusia? – zapytał.

– Tak, syneczku – odpowiedziała.

Cmentarz nie był daleko, więc zdecydowała się iść pieszo.

Najpierw zaczął pokasływać, dziwnie, krótko, urywanie, jakby na pół oddechu. Nigdy przedtem nie chorował, więc kosztowało ją niemało trudu, żeby namówić go na wizytę u lekarza.

– Drobne zmiany w oskrzelach – stwierdził młody medyk z przychodni sportowo-lekarskiej. I rzeczywiście, po serii leków kaszel zniknął zupełnie, lecz zaraz potem pojawiła się gorączka. Nie była wysoka, ale codzienna, uporczywa, niepokojąca.

– Ma pan pewnego rodzaju zapalenie płuc – poinformował ordynator oddziału wewnętrznego po długiej, szeptanej rozmowie z ojcem Janusza, również lekarzem.

– Dla dokonania badań kontrolnych musi pan zostać w szpitalu. To konieczne – dodał. I o dziwo, Janusz się zgodził i to nadzwyczaj potulnie. Kilka dni potem teść zapytał ją o grupę krwi.

– Chyba zero – odpowiedziała i jakieś złe przecucie ukłuło ją w serce. – Dlaczego pytasz?

Wsiadł na nią od razu, że cywilizowany człowiek powinien znać swoją grupę krwi, więc niech głupio nie pyta, tylko idzie do szpitala.

Poszła i dla świętego spokoju zgodziła się na te badania.

* * *

Dzień pachniał latem i świeżymi trawami.

– Tatuś śpi? – zapytał Bartek, wskazując rączką płytę piaskowca.

Skinęła potakująco głową i pomału podniosła przewrócony wazon z wczesnymi żonkilkami.

– Tak, syneczku, śpi – odpowiedziała i natychmiast odwróciła głowę. Znowu ta nieposłuszna łza...

– Dlaczego tatuś tak długo śpi? – usłyszała ponownie głos syna i ten głos zmusił ją do otwarcia zaciśniętych powiek.

Wtedy właśnie poczuła w sobie strach, dojmujący, ściskający obręczą gardło i serce. Ile ma jeszcze czasu dla swojego syna?

Nie przypuszczała, że myśl może tak zabołoczyć, prawie fizycznie. Usiadła na najbliższej ławce, spojrzała na żonkile i dotknęła je ręką. Wyczuła chłód. Wydawało jej się, że dopiero teraz zrozumiała, iż śmierć, którą Janusz sprowadził do ich domu jest tylko przypadkowym, bezsensownym zdarzeniem, przed którym nie można uciec.

Kiedy myślała o tym, kładła na wagę wszystkie dobre i złe chwile i zawsze zwyciężała miłość Janusza i miłość do niego. Analizowała wszystkie przypadki, zdarzenia, słowa, gesty i rozmowy.

Tak. To był zły wypadek, który dotknął ich karą. Karą? Za co? Za grzech?

Przecież ona mu ten grzech dawno wybaczyła. Więc czemu? Więc czemu?

– Chodźmy już, mam – zawołał Bartek.

– A co będzie z nim – pomyślała patrząc na syna. Przecież jego też obejmie zasada dziedziczności. Znowu poczuła zawilgocenie oczu i zupełnie mechanicznie, któryś raz z rzędu odczytała wyryty na nagrobku napis: żył lat 28.

– Nie zdążyliśmy się sobą nacieszyć – powiedziała prawie głośno. – Za mało dano mam czasu. Może później, gdzieś tam po drugiej stronie życia. Może? To przecież już niedługo. Wszystko dzieje się tak szybko. Tak strasznie szybko. ■

Walika

Konrad Ludwicki

Zwierzę rzuciło się na mnie zupełnie bez powodu. Jednym zwinnym ruchem powaliło mnie na ziemię. Plecami wyrznąłem o beton i chyba po raz pierwszy w życiu naprawdę się bałem.

Po...po...pomocy! – krzychałem. Jednak moje wołanie wywoływało u przechodniów całkowite lekceważenie i drwinę. Zacząłem walczyć. Przez krótki moment udało mi się nawet odciągnąć bestię, niemniej silne bydlę w ułamku sekundy było przy mnie i jednym kłapięciem szczęki nadszarpięło moją dłoń.

– Ożesz ty kurna! – zdenerwowałem się nie na żarty i uświadomiłem sobie, że stawką w tej nierównej walce jest moje życie. Zauważyłem bowiem, że zwierzę naprawdę chce mnie wykończyć.

– Za co?! – pytałem, doskonale wiedząc, że włochate stworzenie i tak nie da mi odpowiedzi. Jego tłuste cielsko przygnięło moją drobną postać, a dedeerowski zegarek „ruhla”, który tak szanowałem, w jednej sekundzie przestał działać, zatrzymując się na godzinie ósmej piętnaście. To rozwścieczyło mnie jeszcze bardziej. Zacząłem w całej tej panice drzeć się, wymachując na oślepek rękami i nogami. Zdawało mi się nawet, że ujrzałem w oczach potwora strach – być może było to tylko zdziwienie. Puszyste stworzenie wyło i ryczało, śliniąc się i łypiąc ślepiami; atakowało przede wszystkim moją twarz. Bronilem się. Gestem rozpaczy zasłaniałem głowę jedną ręką, by drugą – tą bardziej sprawną – odciągnąć groźnego napastnika. Bez skutku. Krew silnie sączyła się z mojego kciuka, szyi i pleców. W jednej chwili zrozumiałem, że być może są to ostatnie chwile mego żywota. Jeszcze raz z determinacją zacząłem się bronić... ba... nawet atakować. Przestałem już zwracać uwagę na zegarek, ubranie, a nawet słoneczne okulary – tak zwane lennonówki (wciąż je nosiłem, jako wierny fan Beatlesów). Na próżno! Czulem, że przegrywam.

Czerwona ciecz przyskała wokół i zupełnie przypadkowo pochłapała jednego z przechodniów. Starsza pani grzecznie, acz stanowczo, zasugerowała mi, że powinienem uważać i z chytrym uśmiechem nadepnęła obcasem na moje krwawiące palce. Jęknąłem z bólu. Na szczęście nie wszyscy byli tak podli jak owa kobieta w przysadzistym kapeluszu.

– Że też szanowny pan daje się tak męczyć – zagadnął młody mężczyzna z papierosem w ustach. Spoglądał to na mnie, to na zwierzę, drapiąc się pod nosem.

– Niech mi pan pomoże! Błagam! – wrzeszczałem panicznie.

– Z wielką chęcią – odparł. – Pójdę jedynie po pistolet, mieszkam tuż za rogiem. Mam nadzieję, że wytrzyma pan pięć minutek – dodał i wolnym krokiem poszedł po broń.

Tymczasem cholerny zwierzę traktował mnie jak kot mysz. Przez krótką chwilę dawał mi spokój, by za kilka sekund – gdy miałem nadzieję, że jestem wolny – przewrócić mnie, rozszarpując i tak już liczne rany. Właściwie byłem niemal pewien, że to definitywny koniec, kiedy nagle ponownie ujrzałem młodego mężczyznę, stojącego tuż obok mnie z nabitym pistoletem. Celował w bestię mrużąc lewe oko i – niczym w zwolnionym tempie – podnosząc wyciągniętą rękę. Jednocześnie strzał i huk sparaliżowały moje ciało. Mężczyzna nie trafił! A raczej trafił, ale we mnie... umierałem...

KONIEC GRY – przeczytałem napis w rogu ekranu. PRZEGRZAŁEŚ – informował monitor. CZY GRASZ DALEJ? – brzmiało wyświetlone pytanie. Kliknąłem „NO”. Później ESC, ENTER i lewym przyciskiem myszy zakończyłem całą tą durną zabawę. Kineskop posłusznie zgasł, wydając ciche, krótkotrwałe trzaski. Dopilem łyk zimnej kawy; była druga w nocy.■

BAJKI O PÓŁLUDZIACH

Sawomir Burszewski

W PLENERZE

Francik i Kazik jechali se rowerkami po okolicy. Objechali już wszystkie parkingi, pościgali sie z autami, potracili trzy staruszki, a na koniec Francik odlotową świecę zrobił i wiraż w piaskownicy. Szła już zima. Kto wie, czy to nie ostatni raz w tym roczku dziarsko pedałowali. Jak nastaną chłody i śniegi, ich pojazdy przykryje kurz i pajęczyny w przepastnych piwnicach ich domostw. Wentle trza będzie spuścić, łańcuch naoliwić, baterijki z lampek wyjąć, żeby sie elektrolitem nie zalały. I tak do wiosny. Postanowili najsamkonic do lasku jeszcze jechać, coby zmiany w przyrodzie naocznie obejrzeć. Czy ptaki odleciały i kasztany pogniły w ściółce na amen. A w tych wąskich alejkach jakby im skrzydła urosły! Jakby im silniki do plec przyprawiono! Jakby siódmy dech z siebie wydobyli! W lewo i w prawo, prosto i do tyłu.

Istne diabły na gumowych oponach. Pagóreczków i dołeczków już nie starczało na te ich ekwilibrystyczne popisy. Wtem Kazek jak nie wyrznął w pieniek wystający z ziemi! Fiknął trzy salta i legł sponiewierany bez dechu pod jesionem. Francik biegnie do kolegi wystrachany i sztuczne oddychanie robi, a ten nic. Błady i zimny. Zabił sie chłopok. Podumał przez moment Francik, drapiąc sie po czaszce i biegnie czym prędzej do najbliższego automatu z coca-colą. Ostatnie 2 złote poświęci za życie kolegi. Nie jest taki jak inni. Wlewa ożywczy płyn w usta denata, a ten jak nie ożyje i skoczy metr w górę! Taka siła w niego wstąpiła po bąbelkach, że trzy głązy sam podniósł i cisnął na trzy metery w dal. Podziękował koledze za spieszny ratunek i dalej pojechali harcować po polach. Wieczorem zjedli razem bigos.■

NA JEŻA

Od tej roboty opędzić sie nie można. Co chwila telefon, pakunek w torbe i dalej w miasto do klienta nieść trza, bo se zamówił, bo telefon komórkowy pewnie ma. Tera ludziom to z doma nie chce sie wychodzić. Wszystko pode drzwi trza dać, to może i zjy. Niejadki. Niose te picce wedle skrzyżowania i niczego se nie robie. Ludzie sie patrzy na mój czerwony kapok z napisem i pewnie mi zazdroszczo, że przy żarciu robie, że zawsze najedzony jestem, a roztopiony ser z dodatkami mam na psztryknięcie palcem. Nie mówiąc o papryce, pepperoni i innych tam takich. Wcale nieprawda. Ciągłe chodze wte i wewte, nawet na kawę i papierosa nie mom czasu usiąść, bo zara telefon i na drugi koniec miasta musze lecieć. Urwanie głowy tylko z tym tele-tele. Jakby se nie mogli normalnie przyjść do knajpy i zjeść. Nie. Przynieś im i pod nos podstaw. I pieluche zmień. Majo pieniądze to i grymasy większe. A ja głodny chodze i na wie-

czór troche żura conajwyży zjem. No nie wytrzymam – wejde w brame i zjem te picce całą jak stoi. Co też i zrobiłem. Duża była, z dużym nadzie- niem. O! Na tydzień mi starczy, tak żem sie objadł. Pasek aż rozpinam. Bekam jeszcze. Tylko co ja tera temu klientowi dam? Z roboty mnie wyle- jo. Idę tak koło śmietnika i dumam. Aż tu widzę rozjechanego jeża, całego jeszcze w poso- ce. Dotykam – ciepły. Widać niedawno przygnieciony. Pakuje całego w bułkę paryską i dawaj do klienta. Trzecie piętro. Otwiera dziadek jakiś w ciem- nych okularach, o lasce. – Dwadzieścia dwa pięć- dziesiąt – mówie – po promocji co Bóg łaska. Ja patrze, a on je tego jeża i nawet nie mruknie. – Jak to dobrze, że przyjeżdżacie do domu. Jestem nie- widomy, a moja córka wyjechała na kursy i sam nie poradzę uszykować sobie potrawek. Stokrot- ne dzięki ci, dobry człowieku. – Nie ma za co... – Tego dnia byłem syty.■

Opowiadania najkrótsze

Prezent

Tadeusz Gieryski

Jak przypuszczałem, leżał na strychu, między książkami, butelkami i innymi rupieciami, prawie niewidoczny, bo za kurtyną pajęczyny, z przetrąconym ramieniem, zabrudzony do niemożliwości, po prostu obraz nędzy i rozpaczki! Jak dawno tu przebywałeś? Oczywiście, nie odpowiedział. W tym ciemnym zakamarku, zapomniany przez ludzi i Boga, odzwyczaił się zapewne od ludzkiej mowy. Trzeba go było doprowadzić do jakiegoś porządku.

Wyniosłem znaleźisko przed dom ukradkiem, żeby nie wywołać wśród rodziny popłochu. Waliłem pięścią, tarmosiłem, turlałem po śniegu. Jak to możliwe, żeby tyle kurzu mogło się tam zmieścić? Toż nadawałby się na świecę dymną. Ze zwierzaka wciąż wydobywały się nowe i tak samo gęste tumany pyłu, jakichś paprochów. Wycierając zażawione oczy, chciałem już zrezygnować z bezowocnego wysiłku, gdy przyszła mi do głowy rewelacyjna myśl: wanna! Pod strumieniem wody zrobił się ciężki, niekształtny jak worek z kartoflami i w ogóle mało już siebie przypominał. Spływała zeń okropnie brudna maź. Ale się uparłem – nie ustąpię! Złapałem szczotkę ryżową i zacząłem szorować centymetr po centymetrze. Zmieniałem wiele razy wodę, aż dopiąłem swego. Okazało się, że przed 40 laty, gdy go sprezentowałem kilkuletniej córce, był biały, bielutki... no, może z pewną odrobiną beżu. Co z tego, kiedy teraz nasiąknięty wodą, ciężki jak amerykański grizzly z Gór Skalistych, nadal wyglądał jak półtora nieszczęścia. Tym bardziej, że w czasie odkurzenia wybiłem mu jedno koralikowe oko, którego w śniegu odnaleźć nie mogłem.

– Mój kochany – przemawiałem pieszczotliwie – za miesiąc przyjedzie Hjordis, polubicie się, pokochacie... Miś i tym razem nie odpowiedział, tylko z nosa zaczęło mu kapać. Wytarłem go ręcznikiem, przeczesałem włosie, potrząsnąłem raz i drugi i zaniósłem do siebie.

Był bardzo duży, na pewno większy od Hjordis, więc z niemałym trudem wcisnąłem go między kaloryfer a parapet okna. Z przemoczo-

nych trocin wciąż kapało. Podstawiłem miednicę, a sam zszedłem do piwnicy, aby dorzucić węgla do pieca.

Sechł dobre dwa tygodnie, ale jeszcze długo jego trocinowe trzewia wydawały nieprzyjemny zapach. W przeddzień przyjazdu mojej pięciolatki pokropiłem go perfumami. To prawda, pachniał inaczej, lecz nie była to woń... konwalii.

Pojaśniało, poweselało w domu, jakby gwiazdka betlejemska wraz z przybyciem dziecka weszła w nasze progi, chociaż wigilia miała nastąpić dopiero za dwa dni. Nie wytrzymałem. Wyciągnąłem ze schowka misia-olbrzymia i dałem go w ramiona dziecka, które się zaraz razem z grizzlym przewróciło. Popatrzyło trochę na zwierzaka, a potem (o rozpaczki moja!) zajęło się swoimi zabawkami, dużo mniejszymi, bardziej przytulnymi.

Zawiedziony zrozumiałem, że mój uperfumowany niedźwiedź z Gór Skalistych jakoś dziewczynce nie odpowiada. Był zbyt wielki i niewygodny do zabawy. Ponadto ów zapach, jakby skisniętego tortu, wciąż się utrzymywał.

Cóż było robić... Potajemnie ukryłem misia w moim tapczanie. Hjordis jego zniknięcia nawet nie zauważyła. Tyle pracy i przygotowań – wszystko na marne! Po wyjeździe Hjordis do jej północnej ojczyzny ulokowałem misia na swojej biblioteczce. Nie miałem serca odnieść go na strych. Na pewno lepiej mu ze mną niż w jakiejś zapajęczonej dziurze. Siedzi tam, nad książkami, do dziś. Przez ten dwudziestoletni okres Hjordis stała się dorodną panną o ciemnych włosach, czym wyróżnia się od swoich koleżanek. A misiowi jakby lat nie przybyło. Stał się moim małym, jak stojące przy nim książki – przyjacielem. Jego jedyne koralikowe oko patrzy na świat z pewną dozą melancholii. Rozumiem jego łagodny smutek. Nie przepadała za nim córka, gdy była malutka ani później wnuczka. Tylko ja jeden go kocham, choć moje dzieciństwo jest tak odległe jak gwiazdozbiór Bliźniąt, pod znakiem którego kiedyś tam się urodziłem. ■

IRONIAŁKI

Elżbieta Jeziorowska-Wróbel

ŚMIECIOPAŁ

Brak mu trzeźwego spojrzenia. I jednej nogi. Zastępuje ją czymś procentowym. Mimo to lubi wędrować. Szczególnie po śmietnikach. To, co znajdzie, spala we własnym piecu. Truje siebie. I środowisko. Jego sąsiadka głośno psioczy na niego. Ona grzeje gazem. I ma najlepszy piec. Jest taka czysta. I ekologiczna. I jaka oszczędna. On za tani łyczek czegoś z procentem spala także jej śmieci.

MIĘSCINA

Każdy tu zna każdego naiwnie wierząc, że na wylot. Każdy coś chowa w zanadru. Jeden drugiemu się kłania i... wiesz na nim psy, gdy tamten nie widzi. Każdy do każdego płotem stoi. Każdy każdemu pomocny, jeśli ta pomoc jemu samemu nie zaszkodzi. I nie wymaga poświęceń. Ha, spróbuj tylko inaczej niż każdy, to wszyscy na ciebie. Nikt z tobą. Bo każdy z każdym powinien w zgodzie, nawet jeśli ta zgoda to zwykła obłuda. Każdy się obrazi, jeśli powiesz, że mieszka w mieścinie. Ale nikt nie zastanowi się, ile w tym jego udziału.

ZAWIŚĆ

Kupili dom. Taki sobie. Wśród sosen. Cieszyli się. „To zły dom, nikt w nim nie żył w zgodzie” – podszeptowali życzliwi i bezczelnie wdzierali się do środka. „I leżał w nim nieboszczyk” – straszili życzliwi i przy każdej okazji, przystawiając ucho do płotu, umierali z ciekawości. „Chcielim go dla syna, ale był za drogi” – wyznawali wreszcie życzliwi, umilając im życie brzękiem pijanego szkła, dzikim chichotem i muzyką ze zdartych do nieprzytomności płyt.

Kupili dom. Odnowili. Zostali, żyjąc według własnych reguł. Prosilili jedynie o ciszę. „Mamy sąsiadów skurwysynów” – grzmieli życzliwi – „Bo nie chcą żyć tak jak my!”



rys. Wojtek Król

SPRYCIUŁA

Wydawało jej się, że jest taka cwana. Tak też o sobie myślała. Przy tym była jeszcze wścibska. Chciała wiedzieć, co kto je, z kim śpi i jeszcze jak to robi. Była też zbieraczką. Zbierała wszystkie wiadomości z okolicy, interpretując je według własnych potrzeb. Godzinami pluła w ucho każdemu, kto nie potrafił przed nią uciec. Handlowała piwem i plotkami. Miała rozbiegane oczy, rozbiegane myśli. Tylko w biodrach się zastała. Popęczyła jak dynia na największej kupie. W porze deszczu wściekała się z braku klientów, usychała z niedosytu złotych i plotek. W porze upałów parskła śmiechem pełnych butelek. Serwowała piwo poza kasą fiskalną dumna ze swego cwaniactwa.

Któregoś dnia przyszło dwóch takich. Kupili piwo, ale... to ona musiała je wypić. Myślała o sobie, że jest taka cwana. Nie przewidziała kontroli. Przechytrzyła... samą siebie. ■

Andrzej Kalinin

– powiernik syberyjskich wspomnień

Joanna Sularz

Jakiś czas temu TV „Polonia” wyemitowała audycję, w której poinformowano, iż pisarz Andrzej Kalinin, autor znanej książki pt „...i Bóg o nas zapomniał”, opowiadającej o losach Polaków w sowieckich łagrach i na syberyjskim zesłaniu, podjął się unikalnej pracy – opracowania i przygotowania do druku wspomnień żyjących jeszcze świadków tamtych zdarzeń.

RELACJE, KTÓRE MAJĄ SIĘ ZNALEŻĆ W KSIĄŻCE-almanachu, są wynikiem konkursu na „Wspomnienia Sybiraków”, jaki na swoich łamach ogłosił nowojorski „Nowy Dziennik”.

Jeszcze tego samego dnia, zaraz po audycji, w domu pisarza rozdzwoniły się telefony, a w przeciągu tygodnia poczta przyniosła całe sterty listów, publikacji, opowieści i wspomnień zesłańców z całego niemal kraju. Okazało się więc, że pamięć o tamtych okrutnych latach wciąż jest żywa w sercach ludzi i stanowi część naszej polskiej tragicznej historii. Dowodem tego niech będzie fakt, że sporo młodych ludzi przysłało wspomnienia o syberyjskich losach swoich rodziców i dziadków.

Pokoleniowa pamięć trwa więc niezmiennie i tworzy dalej historię domów, rodów, pomimo że od tamtych lat minęło sporo czasu. Rana okazała się za głęboka, żeby jedno półwiecze mogło ją zabliznić. „Mamy tu bowiem do czynienia z sowieckim ludobójstwem na skalę jakiej ani wcześniej, ani potem nie doświadczyła ludzkość” – napisał w nowojorskim „Nowym Dzienniku” Waldemar Wierzbowski, główny inspirator owego konkursu na „sybirackie wspomnienia”. „... zbrodnie te, do dnia dzisiejszego nie zostały osądzone ani przez moźnych tego świata potężnie”.

To wszystko prawda nie podlegająca żadnym zastrzeżeniom. Nasuwa się tylko pytanie: dlaczego właśnie pisarzowi, a nie historykowi zajmującemu się tamtymi latami, powierzona została tego rodzaju praca? Odpowiedzi trzeba poszukać w twórczości Andrzeja Kalinina. Temat martyrologii Polaków na syberyjskich obszarach Związku Radzieckiego powtarza się we wszystkich jego książkach. Już pierwsza z nich p.t. „...i Bóg o nas zapomniał” poruszyła w sposób niespotykany dotąd w literaturze polskiej sprawę zsyłek na Syberię i sowieckich obozów masowej śmierci, zwanych łagromi. Na czym polegała ta inność?

Kalinin nie ucieka się jedynie do uogólnień i opisów martyrologii. Píše jakby o każdym uczestniku tamtych zdarzeń z osobna. Opowieść bowiem ma tyle codziennych, łagrowych i zesłańczych wątków, że jest uniwersalna w ludzkim, zwyczajnym odczuciu. W posłowie do książki znany krakowski krytyk literacki Andrzej Waśko potwierdza tę tezę, gdy pisze, że „autor kieruje naszą uwagę ku walce jednostki z przytłaczającymi, unicestwiającymi ją potęgami. Ku walce o zachowanie godności człowieczej, ponieważ bez niej, choć podeptanej, bezsilnej, wysसानej przez wszy, nie było by już świata z ludzkimi uczuciami”. Te właśnie

ludzkie potrzeby ratowania godności, które w tamtych tragicznych czasach były udziałem większości maltretowanych zesłańców, stanowią o wartości i o inności tej książki. Bo oto człowiek, więzień łagru, zdawałoby się do końca już upodlony nieustannym głodem, zimnem, katorżniczą pracą staje nagle w obronie katorwanego konia. Według łagrowego regulaminu przeciwstawia się wtedy prawowitej władzy radzieckiej, czym w konsekwencji naraża życie, ale dzięki temu przez moment, przez jedną chwilę staje się człowiekiem wolnym i po ludzku szlachetnym.

W pamiętnikach, które przysłało pisarzowi po cytowanej wyżej audycji telewizyjnej, takich właśnie postaw, szlachetnych i godnych człowieka jest dużo i to po obu stronach tej samej, komunistycznej tragedii. Dowodem na to jest postać komandira z opowiadania „Wigilia białych niedźwiedzi” z książki Andrzeja Kalinina pt. „W cieniu złych drzew”.

Opowiadanie to uznał zapewne za znakomite Jerzy Giedroyc skoro otwierał nim numer swojej paryskiej „Kultury” w grudniu 1995 roku. Podobnie uczyniła znana pisarka (wydała ostatnio listy Herberta do przyjaciół „Kochane zwierzątka”) i tłumaczka literatury polskiej na język angielski, pani Magda Czajkowska, której przekład „Wigilii białych niedźwiedzi” czytany był w I-szym programie Radia BBC.

Jest to historia pewnego „komandira” sowieckiego łagru, który w wieczór wigilijny idzie do baraku polskich więźniów, żeby z nimi pośpiewać kolędy. W tę przedziwną noc nie potrafi się opędzić od wspomnień, o swoim polskim domu rodzinnym i jego chrześcijańskich, europejskich tradycjach.

Ma teraz przeogromną władzę, jaką otrzymał od komunistów, a z drugiej strony tkwi korzeniami w innym, nieobecnym tu świecie, lepszym, ludzkim, gdzie wspólnie i serdecznie śpiewało się kolędy i łamało opłatkiem.

Świetnie dostrzegł tę tragedię sowieckiego komandira Krystian Piwowarski w częstochowskim periodyku kulturalno-literackim „Aleje 3”, kiedy w artykule pt. „Literatura i telewizor” napisał:

„(-) dręczony wspomnieniami bohater opowiadania jest jednocześnie alegorią tragicznej, koślawej człowieczej drogi” (-) „Postać komandira obozu niosąca całe opowiadanie na jednym, jedynym zdaniu: ‘- tylko te wspomnienia, te cholerne wspomnienia...’ została mistrzowsko nakreślona zaledwie paroma oszczędzonymi zdaniami”.

W książkach Kalinina o syberyjskich losach Polaków nie znajdzie czytelnik ani tradycyjnej dla tego typu literatury martyrologii, ani jakże częstych antymartyrologicznych, suchych relacji w liczbach, faktach i urzędowych dokumentach.

Dramatyzm opisów, ich personifikacja z losami bohaterów połączona z sugestywnym opisem zdarzeń i okoliczności, czyni je wiarygodnymi i uniwersalnymi w odbiorze.

Tę niezwykłą dostępność słowa zauważył już Włodzimierz Odojewski w przedmowie do pierwszego wydania książki pt. „...i Bóg o nas zapomniał”. Pisał wtedy: „Książka nie jest powieścią, ale formą ludowego poematu, okrutnego, przejmującego, przesyconego zarazem owym specyficznym liryzmem ukazującym zdarzenia sprzed pół wieku, tamten świat i tamtych ludzi, a wszystko zanurzone, skąpane w tej dziwnej mgiele, którą stwarza oddalenie i praca pamięci”.

Trzy książki Andrzeja Kalinina odnoszą się do sybirackich losów Polaków, stanowią w opinii wielu znawców tematu bardzo ważny asumpt w nieskrępowanej już dyskusji o współczesnej historii naszego narodu. Zwraca na to uwagę Bogdan Rogatko na łamach krakowskiej „Dekady literackiej” mówiąc o edukacyjnych walorach książek Kalinina: „Oto w czasie, gdy coraz częściej dyskutuje się o represyjności ustroju komunistycznego, gdy niedawno wydano we Francji ‘Czarną księgę komunizmu’ uznaną w tzw. intelektualnych kręgach Europy Zachodniej za kontrowersyjną, proza Andrzeja Kalinina w sposób niezwykle sugestywny trafia do masowego czytelnika, ukazując ten rozdział naszej historii, w którym dopiero od niedawna i nie bez pewnych oporów, usuwamy białe plamy.”

O tym, o czym przez wiele lat panowania ustroju sprawiedliwości nie było wolno mówić, uczą się dzieci w szkole między innymi z książki Andrzeja Kalinina „...i Bóg o nas zapomniał”, która jest obowiązkową lekturą szkolną. Młodzież pyta potem rodziców i dziadków: Czy rzeczywiście tak mogło być?

Nie wszyscy w to wierzą, bo różne wtedy obowiązywały wiary, różne były nadzieje. Jedni chcieli w ten sposób przetrwać zły czas, inni

uwierzyli w sprawiedliwość dziejową, jak ów komandir z „Wigilii białych niedźwiedzi” czy główny bohater opowiadania *Film* z tomu „*Las wokół*”.

Sam był Akowcem, aresztowanym zaraz po wojnie przez NKWD i wywieziony w głąb Rosji. Kręcono tam film o Katyniu, w którym propaganda radziecka czyniła Niemców odpowiedzialnych za tę porażającą okrucieństwem zbrodnię ludobójstwa. Bohater opowiadania ratując swoje życie zgadza się zagrać w tym filmie rolę Polaka, naocznego świadka tamtej, niby niemieckiej, zbrodni. Ma przecież dopiero dwadzieścia lat, wszystkie pragnienia i nadzieje z tym związane i świadomość, że biegu historii nie zmieni, a uratuje życie. Będzie mu to ciężać potem nieustannym wyrzutem sumienia, aż w końcu zrzuci go z siebie w momencie, kiedy w wypadku na budowie zginie jego NKWDowski oprawca. Nie zważając wtedy na grożące mu represje, ujawnia publicznie na zebraniu w remizie strażackiej i w obecności prokuratora, całą prawdę o zmarłym i o owym zakłamanym bolszewickim filmie.

Tamte wybory między życiem i śmiercią, dobrem i złem, prawdą i kłamstwem, ale też między godnością a upodleniem są treścią całej literatury Kalinina.

„*Są głosem prawdy*” – jak napisał w nowojorskim „*Nowym Dzienniku*” Jacek Gulla – „*o losach tych, o których z dawien dawna się milczy*”.

Tę odwagę mówienia prawdy i nazywania rzeczy po imieniu zauważyła już w miesięczniku „*Polonistyka*” pani profesor Bożena Chrząstowska. *Prawda jest przecież najważniejszą cechą ludzkiej moralności* – napisała. – *Dlatego prozę Kalinina trzeba czytać nie tylko dla porywającej fabuły i celów poznawczych, ale także dla jej niezwyklej ekspresji literackiej, prawdy i świadectwa godności człowieka.*

Wielu ludzi utożsamia się z bohaterami książek Kalinina. – Panie ja tam byłem – piszą w swoich listach – przeżywałem wszystko co pan opisał, jakbym tam znowu był. Teraz, wie pan, łagier znowu śni mi się po nocach. Ale dziękuję panu. Pierwszy raz przeczytałem tak prawdziwie oddane nasze cierpienia, myśli i nadzieje. ■

*** autorka pisze pracę doktorską na temat twórczości Andrzeja Kalinina.**

Słowo o Tadeuszu Gierymskim

Krzysztof Piwowarski

W IERSZE TADEUSZA GIERYMSKIEGO drukowane ostatnio w „*Alejach 3*”, myślę tu zwłaszcza o „*Kładce*” i „*Ocaleniu*”, choć naturalnie nie tylko, utwierdzają mnie w przekonaniu, że Gierymski jest wybitnym poetą.

W moim myśleniu o Tadeuszu nieodmiennie, od chwili kiedy poznałem jego poezję i prozę poetycką, pojawia się słowo „*gdyby*”, jako kategoria warunku i przypuszczenia – *gdyby* w życiu Tadeusza inaczej potoczyły się zdarzenia, wówczas zająłby zupełnie inne miejsce w literaturze. Wiem, że owo „*gdyby*” jest domeną przypisywaną przez ciasnych racjonalistów wszelkiej maści fantatom, ale po pierwsze sam jestem fantastą, po wtóre ciasny racjonalizm napawa mnie nieufnością, po trzecie świat byłby piękniejszy, *gdyby* ciasnych racjonalistów co do jednego trafił szlag.

Do sytuacji Gierymskiego odnosi się pewien esej Kazimierza Wyki, który miałem przyjemność czytać na studiach. Wyka pisał w nim o Janie Matejce. Ogólny tenor artykułu brzmiał mniej więcej tak: *gdyby* Matejko żył w centrum Europy, powiedzmy we Francji czy Niemczech, byłby wielkim, uznanym europejskim artystą. Niestety, żył w Polsce, czyli, w przekonaniu ówczesnych Europejczyków (w tym także intelektualistów), nigdzie.

Podejrzewam, że w przekonaniu wielu współczesnych Europejczyków Polska nadal jest jakąś nibylandią, albowiem, i to jest już kategoria jak najbardziej realistyczna, była, jest i będzie faktyczną peryferią Europy. Podobnie jak Częstochowa była, jest i będzie peryferią Polski.

Gierymski, choć wielki, był, jest i będzie poetą peryferyjnym. To głęboko niesprawiedliwe, ale nic tego stanu nie zmieni.

Dawno, bardzo dawno nie czytałem poezji równie dogłębnie przemyślanej, zdyscyplinowanej, a nade wszystko pięknej w doskonale czysty sposób, jak „*Ocalenie*” („*Aleje 3*” nr 31). Jeżeli

u postaw jakiejkolwiek pierwotnej poetyki legło piękno, jako element wyróżniający ten rodzaj sztuki spośród innych, to Tadeusz sięgnął tu ideału. Nie można już pisać lepiej. Mówiąc o pięknie wiersza mam na myśli trafność spostrzeżeń, logikę poetyckiego wywodu, urodę słów, zręczność w operowaniu nimi i tak dalej, wszystkie możliwe składniki wiersza, ale nie z osobna, lecz wymieszane w sposób tak harmonijny, że doskonały.

Chylę czoła nisko i z wielką pokorą, Tadeuszu.

Wyka opisując fatalne położenie geokulturalne Matejki chciał zilustrować, *pars pro toto*, zjawisko, które nazwać możemy przekleństwem prowincji. Otóż prowincja nigdy nie wychodziła wybitnemu twórcy na zdrowie, choć sprzyjała miernotom.

Świat sztuki zawsze miał strukturę feudalną, tu godności wasalom nadawał senior, a jego zamek ze swej istoty stanowił centrum. Wasal marzący o tytule musiał jechać do zamku seniora i tam, po paru latach klamkowania, bywał namaszczany. Lub nie. To doprawdy zawsze zależało od kaprysu seniora, niekoniecznie zaś od talentu wasala. Żeby skończyć tę przydługą metaforę, powiem tylko, że Gierymski nigdy nie wyruszył w drogę do zamku. O przyczynach nie chcę mówić, bo w istocie niewiele o nich wiem, ale też nie o przyczyny mi chodzi, a o skutek pozostawiania poety na prowincji. W sensie dosłownym i przenośnym, rzecz jasna. (Ta ostatnia uwaga dotyczy ciasnych racjonalistów.)

Skutek jest taki mianowicie, że ominęło Gierymskiego szersze, nie tylko lokalne, uznanie i sława, na które w pełni zasłużył. Jeśli dodam do tego „Zapiski o świcie” – notacje dorównujące oryginalnością i wnikliwością sądów podobnym formom uprawianym niegdyś przez najwybitniejszych pisarzy, a urodą znacznie je przewyższającym, moje rozgoryczenie wzrasta. Wzrasta także moje przekonanie, że Częstochowa ma wobec Tadeusza Gierymskiego, twórcy wybitnego, dług. Rośnie także przekonanie, że tym razem nie powinienem skończyć tylko na słowach.

Dlatego powyższy tekst należy uznać za moje oficjalne zgłoszenie kandydatury Tadeusza Gierymskiego do nagrody prezydenta Częstochowy w dziedzinie kultury w roku bieżącym. Miałbym sobie wiele do zarzucenia, gdybym tego nie uczynił.■

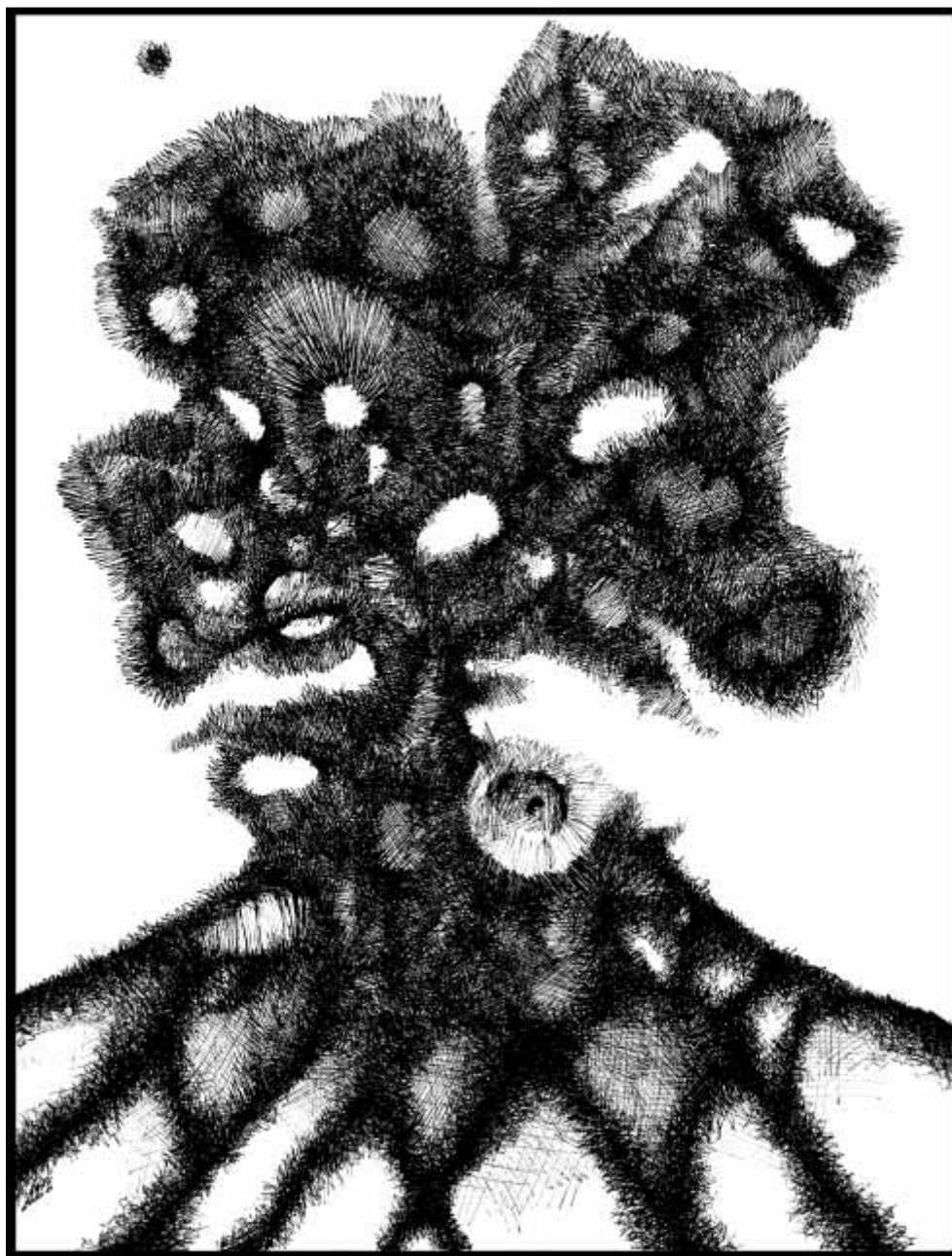
RZEMIOSŁO A ARTYZM

(SB)

W POPRZEDNIM NUMERZE „ALEJ” PRZECZYTAŁEM ARTYKUŁ krytyczny „Literatura i telewizor” Krystiana Piwowarskiego. Autor bez litości „trepował” tam pierwszą książkę młodego prozaika Marcina Rumińskiego „Krwisty befszytk”, wynosząc pod niebiosa książkę Andrzeja Kalinina „W cieniu złych drzew”. Zestawienie tych pozycji ma się jak walka pięściarzy – jeden z wagi piórkowej, drugi z wagi ciężkiej. Inny jest status i kaliber pisarzy oraz wiek i punkt kariery. Rumiński dopiero zaczyna, Kalinin umacnia swoją pozycję. Nie mam nic do pana Andrzeja, jego książki dobrze się czyta, choć czasami wydaje mi się, że wypłynął przypadkowo na fali wielkiego zainteresowania literaturą łagrów, kresów, rozliczania komuny. W porządku – niech pisze dalej. Sztuką dla niego będzie dalsze utrzymanie się w centrum zainteresowania, co przy jego show-mańskich zdolnościach i poszerzaniu terenu retrospekcji w swoich książkach nie powinno być trudne. Zabolął mnie jedynie negatywny z założenia stosunek recenzenta do wszystkiego co młode, inne, „nie-takie-jak-kiedyś”. Jego technofobia w czasach globalnej sieci internetu i TV satelitarnej też jest jakby sprzed stu lat. Niedawno widziałem satyryczny rysunek z początku wieku, naśmiewający się z tramwaju elektrycznego. Że niby jak ciężki wagon może zamiast konia pociągnąć prąd, co daje światło w żarówkach. A jednak pociągnął! Tak samo literatura, która rodzi się teraz za kilkanaście czy kilkadziesiąt lat pociągnie cały wagon literacki. Stąd może niechęć pana Krystiana do pierwsiośników przyszłości. Ale żeby tak od razu po sztubacku butem niszczyć kiełkujące sadzonki? A fe!

Prawdą jest, że proza współczesnych młodych autorów jest zupełnie inna od prozy poprzedników, gdyż inny jest świat przeżyć jej twórców. Być może właśnie on jest przedmiotem niechęci starszego pokolenia, może się wydawać jałowy, banalny, nijaki. Sam był prezydent Wałęsa w kampanii przedwyborczej w ub. roku krzyczał w radio, że dzisiejsza młodzież jest do niczego, niczym się nie interesuje, nie ma szacunku dla przeszłości, wszystko chce mieć gotowe i często bierze się za rozbój i bandytyzm. Jest jakby chora. Taka diagnoza doskonale pasuje do utworów Rumińskiego. Jego bohaterami są zwykli młodzieńcy ledwo po maturze, bez perspektyw, którzy próbują sobie ułożyć życie w świecie brutalnie zajętych już przez dorosłych. Doskonale zdają sobie sprawę, że uczciwą pracą do niczego nie dojdą, będą zawsze pariasami, gdyż ludźmi rządzi pieniądź i on daje szacunek i bezpieczeństwo. Schodzą więc na drogę przestępstwa, rabują sklepy, samo-

chody, banki. Często kończy się to źle, wtedy rodzą się dramaty rodem z westernów, czyli filmów o Dzikim Zachodzie, a takim podobno teraz jesteśmy – krainą bezprawia. Rumiński na usprawiedliwienie w podtytule dopisał, iż są to „historie zbójckie”, co nie mijają się z prawdą. Penetruje świat zwykłych knajpianych rozbójni-



rys. Artur Grejner

ków, lecz nie zauważyłem, żeby go wychwalał. Raczej sankcjonuje tę rzeczywistość, tak jak niedługo Tetmajer spisywał legendy o zbójnikach tatrzańskich i Janosiku. Taka jest rzeczywistość i nie da się jej ukryć wyłączając pilotem telewizor. Nie lubimy tego, staramy się nie zauważać,

przechodzić obojętnie obok scen gwałtu na ulicy, w obawie o swoje życie nie dzwonić na policję, kiedy coś złego dzieje się w okolicy. Ale nie możemy świadectw takich szerokich zjawisk społecznych wyrzucać od razu do kosza, ponieważ są demoralizujące i okrutne, albo nie wznoszą się na wyżyny sztuki. Moim zdaniem

chłodny ton narracji przypominający oko kamery jest tu odpowiednim narzędziem. Zbyt częste są upiększenia i pięciostronicowe dygresje. Dzisiejszy świat jest moralnie zniszczony niekończącym się „wyścigiem szczurów”, tak jak pokolenie Kolumbów było zdruzgotane okrucieństwem II wojny (opowiadanie „Barbarzyńcy”). I nie zawsze wygrywa symboliczne dobro. Czy dzisiaj nie oglądamy w wieczornych „Wiadomościach” kolejnego teatru okrucieństwa? Czy coś w tej sprawie praworządne społeczeństwo robi? Niewiele...

Wszystko co złe tłumaczymy sobie wszechobecną korupcją. Mogę więc postawić tezę, że młoda literatura będzie jeszcze długo przygnębiona, nihilistyczna, prowokująca starszego czytelnika, bo taki jest duch czasów (życie ludzkie jest kilka razy mniej wartościowe od nowego Porsche). Młodego nie, bo jest pisana jego językiem, uproszczoną, zrozumiałą techniką, o sprawach które zna z podwórka i pubu, gdzie spędza większość wolnego czasu. Powoli zmienia się więc także odbiorca. To on decyduje czego chce. I jeszcze zarzut o rzemiosło. Moim zdaniem dobre rzemiosło, to podstawa takiej działalności jak pisarstwo. Kraszewski też był uznawany przez niektórych za pracowitego rzemieślnika, a jaki okazały spadek po sobie zostawił

wie każdy polonista, który musiał o nim pisać prace. Nie twierdzą tutaj, że książka Marcina jest rewelacyjna, ale takie pozycje w obawie przed myśliwymi-krytykami objąłbym tymczasową ochroną. Najpierw jest rzemiosło, sztuka przyjdzie później. ■

SZTUKA ODPOWIEDZIALNOŚCI

Władysław Ratusiński

GRUPA CHŁOPCÓW STOI NA ŚRODKU JEZDNI NA małej częstochowskiej uliczce w dzielnicy domków jednorodzinnych. Mają w rękach patyki, omawiają reguły zabawy. – Jak będziesz pierwszy, k..., to żyjesz i możesz iść do domu. To tylko gra. Nie ma sensu pytać – a co, jeśli nie wygrasz.

W Stanach obliczono, ile tysięcy morderstw ogląda w telewizji przeciętne dziecko zanim osiągnie wiek dojrzały. Jeszcze groźniejsze jest uczestniczenie – chociaż na niby – w morderstwach, gdy młody człowiek gra w nasycone brutalnością gry komputerowe. Nie może to nie pozostawiać śladów w psychice.

Podobny nurt jest reprezentowany przez pewien rodzaj literatury, łączący sugestywne, dramatyczne obrazy seksu i przemocy, brutalności i zbrodni. Czasem znajduje on miejsce również w „Alejach”.

Cóż, można by powiedzieć, że i wielka literatura zawiera nieraz opisy okrucieństwa, przestępstw i wszelkiego rodzaju zła. Tak, ale po pierwsze: czy aby na pewno w interesujących nas przypadkach mamy zawsze do czynienia z wielką literaturą? A po drugie – pozostaje pytanie o literaturę, która byłaby nawet świetna warsztatowo – ale tak jest nasycona złem, że już na nic innego nie starczyło miejsca. Albo o taką, w której nagromadzenie, spotęgowanie zła może co prawda służyć wzbudzeniu odrazy do niego, wstrząśnięciu czytelnikiem, ale to przesłanie – rzeczywiste czy pozorne – przez owo nagromadzenie jest zagłuszone albo zamienia się w swoje przeciwieństwo.

Dzieje się tak, jakby trzeba nam było silniejszej podniety, coraz silniejszych bodźców. I rzeczywiście, człowiek prawie ze wszystkim stopniowo się oswaja. A co powiedzieć o wrażliwej młodej psychice? Jakie zniszczenia, nieobliczal-

ne szkody może w niej poczynić wystawianie na takie negatywne bodźce, także w miejscach, gdzie tego najmniej by się można spodziewać, jak choćby w jedynym wydawanym w mieście piśmie kulturalnym, kolportowanym w ośrodkach kultury, a pewnie i w szkołach...

Zapewne ukrywanie groźnych, tragicznych aspektów rzeczywistości nie ma sensu. Ale czy znaczy to, że trzeba budzić fascynację złem albo przytłaczać ciężarem trudnym do udźwignięcia?

*

„Sztuka musi brać odpowiedzialność za siebie. Artysta odpowiada za odbiorcę – drugiego człowieka. Inaczej świat przestaje funkcjonować, staje się zimny”. (Radosław Gryta, profesor Fińskiej Akademii Sztuki, „Arteon” nr 6/2000).

*

Wokół pewnej wystawy i spektakularnego czynu znanego aktora zrobiło się głośno w środowiskach masowego przekazu. Jedni popierają jego gest jako odważny i uzasadniony, inni odrzucają go, ośmieszając i poddając w wątpliwość intencje performerów-destrukcyjnych. W każdym razie na okładkach poczytnych tygodników pojawiły się zdjęcia tego działania. Odżyły też przy okazji rozważania o skandalu w sztuce.

Jeden z krytyków zauważył smutno, że o sztuce jest głośno w mediach wtedy, gdy wybucha jakiś skandal. No, może nie tylko. Wspomnieć należy na przykład rozreklamowane manifestacje sztuki – dawnej i współczesnej, wystawy wielkich twórców. Ale w tym spostrzeżeniu krytyka jest sporo słuszności. Fakt ten zapewne skłania artystów do ciągłego sięgania po ów środek budzenia zainteresowania publicznego, jakim jest wywoływanie skandalu. A jest to coraz trudniejsze – choć sam sposób ma długą historię.

Wiele dzieł i działań, które jeszcze niedawno bulwersowały ludzi, dziś przyjmujemy jako normalne, a przynajmniej jako jedno z wielu możliwych. Wystawienie pisuaru w galerii dziś wydaje się niewinną igraszką. Tą drogą poszło już tylu artystów. (Mam tu na myśli skandalizujący wydźwięk tego pomysłu, a nie na przykład użycie gotowych przedmiotów.)

Niektóre działania mogą wywołać co najwyżej obrzydzenie albo wzruszenie ramion. Więc chcący posłużyć się skandalem muszą dotykać miejsc czułych albo przynajmniej takich, o których myślą, że w zubożeniu pozostały czule i mogą dać jakąś reakcję. Takim miejscem, przynajmniej dla niektórych, są sprawy dotyczące religii. Toteż są artyści, którzy sięgają do tej dziedziny, licząc może na tak zwane święte oburzenie. Chociaż ponoć w dobie postmodernizmu szokowanie przestawało już być pożądanym środkiem czy celem artystycznej wypowiedzi.

Przytaczając w audycji radiowej przykłady takich działań na salach wystawowych (sam widziałem jedno i drugie), zasięgnięto opinii pani, która stwierdziła mniej więcej tak: „artysta nie może być skrępowany, ma tworzyć to, co chce – a rzeczą odbiorcy jest przyjęcie czy odrzucenie propozycji artysty”.

Kiedy działanie artystyczne sięga spraw najgłębszych, uciekając się nawet do bluźnierstwa, należy się zastanawiać, co jest bluźnierstwem, a co nie, można analizować odbiór, zmienne granice społecznej i indywidualnej wrażliwości w tej dziedzinie. Chcąc poruszyć widza, artysta może posłużyć się środkiem wykraczającym poza te ogólnie przyjęte. Trzeba też uwzględnić, że do owych najbardziej wrażliwych miejsc należy czułość na własnym punkcie, i że czasem ci protestujący głośno przeciw znieważaniu świętości w gruncie rzeczy protestują przeciw zakłócaniu ich świętego spokoju. Warto to wszystko przemyśleć, kiedy dzieło budzi oburzenie – jednostki bądź ogółu – zdawać sobie z tego sprawę, że możemy mieć do czynienia z wielkim dziełem.

„Wjazd Chrystusa do Brukseli” Ensora wywołał skandal w mieszczańskim społeczeństwie. Dzieła Josepha Beuysa sięgające do problematyki i symboliki religijnej nie musiały być przez wszystkich rozumiane (choć na przykład jeden z wybitnych przedstawicieli Kościoła hierarchicznego dobrze je odczytał i zinterpretował).

Ale są działania, o których nie chcę tutaj mówić dokładniej, bo ich celem wydaje się być

właśnie rozgłos. Opowiadanie o nich, szczególnie rozprawianie – nawet w świętym oburzeniu – tylko im służy. Takie dzieła i działania, które są po prostu głupie. Choć zapewne do wszystkiego można dorobić mądrze wyglądającą ideologię. Myślę tu o konkretnych przykładach przedstawionych we wzmiankowanej audycji, także o tych, które sam widziałem.

Artysta może – i powinien – tworzyć. Nie może czuć się skrępowany społecznymi konwensami – choć jakaś odpowiedzialność za wpływ jego dzieł na odbiorców być w nim musi. Nawet nie można jednoznacznie osądzać jego intencji – bluźnierstwo może mieć za podłoże cyniczne wyrachowanie, nienawiść albo być świadectwem poszukiwania sensu, krzykiem rozpaczy. Jednak zostawienie wszystkiego odbiorcy, jak chce wspomniana pani, tworzy czasem sytuację naruszania wolności, godności, praw tegoż odbiorcy. Jest bowiem odpowiedzialność tych, co podobne rzeczy pokazują, udostępniają publicznie. Odpowiedzialność tym delikatniejsza, tym trudniejsza, że mówienie o niej może się zaraz kojarzyć z cenzurą tłamszącą wolność twórczą, a znaną z systemów totalitarnych i nie tylko.

Zostaje wreszcie czas. Czas powodujący stępienie wrażliwości na niektóre aspekty i wyostrzający wrażliwość na inne. To, co kiedyś wywoływało skandal – także czysto artystycznej natury, że przypomnę tylko przyjęcie, z jakim się spotkało malarstwo impresjonistów – dziś jest ogólnie przyjęte i aż trudno pojąć, że mogło kiedyś bulwersować. Czas, w którym klejnoty niejednokrotnie ulegają zagubieniu, zmieszane jakby na wysypisku ze stertą kamieni i odpadków. Czas wydobywający i nieraz w przewrotny sposób ukazujący głębokie warstwy, istotny sens tworzonych dzieł. Co oczywiście nie znaczy, że wszystko trzeba pozostawiać tylko samemu biegowi czasu.

*

Dla okrągłutkiego pieska, białego w czarne łaty, z podkreślonym ogonkiem wszystko jest oczywiste. Pokrzywione płyty chodnika. Zielona trawa i stokrotki kwitnące w grudniu. Drzewa. Inne psy. Zapachy i widoki. Spokojnie idący państwo, których można wyprzedzać, z radosnymi iskierkami w oczach i szelmowskim uśmiechem oglądać się za nimi i znów wracać do nich biegiem. Nawet bloki Osiedla Młodych, które tu stoją zawsze. Tak samo naturalne, jak odwieczne skały. ■



WODA SZEMRZE, TRYSKA, SĄCZY się, płynie i wystrzela ku obłokom w milionach kropel rozszczeplających słońce na migotliwe tęcze. Fontanna. Jej uroda decyduje w dużym stopniu o urodzie miasta. Urozmaica, tworzy mikroklimat – dosłownie i w przenośni. Zachwyca, uspokaja, cieszy.

Fontanny Rzymu, Paryża. Wersal. Skomplikowane układy hydrauliczne, napędzające wodę bez żadnych pomp elektrycznych. Rzeźby. Arcydzieła techniki i sztuki.

A u nas? Proszę przejść się ulicami – najlepiej w letni dzień. Przed Me-gasamem straszą szczątki jakiegoś grzybka. To samo na ulicy Ogrodowej, niedaleko katedry. Bije co prawda fontanna w Parku Staszica, ale trudno ją uważać za szczególne dzieło sztuki architektonicznej czy rzeźbiarskiej. Jest to przecież kawałek rurki wystający ze zbiornika. Chociaż – gdy działa – dość wysoki strumień wody dodaje uroku krajobrazowi parku. Na skwerze między ulicami Śląską i Nowowiejskiego, niedaleko Urzędu Miasta, zbudowano przed laty fontannę. Dno zbiornika pokrywała barwna mozaika z rybami. Ustawiona obok rzeźba – akt kobiety „w stylu nowoczesnym” (budząca swego czasu pewne kontrowersje) – docho-wała się do dziś, ale mozaiki już nie

ma. Fontanna na placu przed nowym dworcem kolejowym, będąca równocześnie zegarem słonecznym, tworzy scenerie nieco surrealistyczne, mające w sobie coś z atmosfery obrazów Chirico. Ostatnio zaczyna się wyraźny proces niszczenia, celowej dewastacji całego obiektu przez nieznaną sprawców, co daje efekty żałosne. Odpadają płytki, a zbiornik nieczynnej w sezonie zimowym fontanny zamienia się stopniowo w śmietnik. Tylko wspaniałe pnącza wokół placu rozrastają się coraz piękniej. Jeszcze jedna fontanna, z dużym zbiornikiem w kształcie wielokąta, o brzegach wyłożonych betonowymi płytami, znajduje się obok filharmonii. Zaś fontanna-ryba urozmaica plac na Tysiącleciu, niedaleko mrówkowca. Niedawno na dziedzińcu przed Wydziałem Metalurgicznym Politechniki pojawiła się nieduża, dość oryginalna fontanna w czytelnej łączności z Galerią Sztuki Odlewniczej. Na wysokich, błyszczących, stalowych rurkach w charakterze słupników tkwią nieduże figurki antycznych golasków, żywo gestykulujących, prowadzących uczoną dysputę. Jeden z nich wskazuje na wojownika, który zajmuje centralną pozycję – pod skrzydłami

też zatkniętymi na rurach. Figurki ładne – razi mnie tylko ich nasadzenie na owe rury, a także zestawienie z niezbyt ciekawą architekturą. Nie przekonuje mnie również sam zbiornik fontanny, a zwłaszcza kawałki zielonej wykładziny, niby sztucznej trawy. Mimo tych zastrzeżeń uważam, że to jest coś! Plany zbudowania fontann dotyczyły terenów za Jasną Górą, ale jakoś na razie nic z tego nie wyszło. W pozostałych częściach miasta też chyba nic się pod tym względem nie dzieje.

Proponuję, aby fontanny uczynić tematem interdyscyplinarnego pleneru miejskiego z udziałem rzeźbiarzy, architektów, artystów zajmujących się aranżacjami przestrzennymi oraz naukowców – specjalistów w dziedzinie hydrauliki, którzy mogliby zaprojektować i zrealizować oszczędne, bezpieczne, na wysokim poziomie artyzmu i technicznej niezawodności fontanny w wybranych miejscach Częstochowy. Do udziału warto by zaprosić sponsorów, a ich wkład uwi-docznic w odpowiedni sposób, na przykład przez umieszczenie na ławkach tabliczek takich jak te, które upamiętniają bywalców Ogrodu Botanicznego Kew Garden w Londynie.

Lepsze nic, niż rydz



CZĘSTOCHOWA NIE MA SZCZĘŚCIA DO POMNIKÓW. Niewiele ich jest (co może i lepiej), a prawie wszystkie budzą moje – większe lub mniejsze – wątpliwości.

Nawet dzieło tak wybitne, jak pomnik kardynała Wyszyńskiego znajdujący przed wejściem na Jasną Górę – ma nie najlepszą lokalizację (jest ona zresztą niezgodna z pierwotnym zamysłem autorskim). W dodatku zapobiegliwi paulini niedawno ogrodzili go kolczastym łańcuchem(!?).

Pomnik „Poległym w obronie Ojczyzny” (na Placu Pamięci Narodowej przy ulicy Sobieskiego) dramatyczny w zamierzeniu, jest przegadany, a pochylnia ułożona z płyt najlepiej nadaje się do zjazdów na wrotkach. Z żalem wspominam ogród z rzadkimi okazami drzew, który był w tym miejscu. Pamiętam, że przesadzono jedno z nich do parku, gdzie uszło.

Pomnik Piłsudskiego, o który starania i walka trwały latami, nie bardzo mnie przekonuje zarówno samą bryłą, owym sztucznie rozwianym płaszczem, jak skalą niedostosowaną do miejsca i ustawieniem figury na konwencjonalnym cokole. Co więcej, na skutek przewlekłego braku decyzji o jego realizacji w Częstochowie, został on postawiony również w innym mieście. Ale bywają chwile, gdy staje się naprawdę piękny. Na przykład w środku nocy styczniowej, kiedy ujednoczony cieniem połyskuje roztopioną na ramionach szadzią, na tle złocistych iskierek świątecznych oświetlających drzewa po przeciwnej stronie placu.

(Bardzo dobry pomnik Marszałka ma Warszawa. Podoba mi się też warszawski przechodzień – Bolesław Prus i – szczególnie – świetnie scharakteryzowany pomnik kardynała Wyszyńskiego przed kościołem wizytek.)

Grób Nieznanego Żołnierza w podjasnogórskiej Alei Sienkiewicza otrzymał niedawno nową formę. O pomniku Sienkiewicza w III Alei NMP wolałbym się nie wypowiadać.

Jeszcze Moniuszko w Parku 3 Maja i najnowszy jasnogórski nabytek – pomnik Papieża na wałach.

Piękny, bezpretensjonalny, pełen powagi, utrzymany w klimacie starych zdjęć z rodzinnego albumu jest pomnik Rodziców Karola Wojtyły. Gorzej, niestety, wygląda jego otoczenie – architektura Domu Pielgrzyma.

Dobrze zrobiony pomnik Kazimierza Pułaskiego w parku (właściwie pomniczek, popiersie), nie wyróżnia się niczym szczególnym, podobnie jak małe popiersie Stanisława Staszica.

(Nie wymieniam autorów, z których kilku to profesorowie Akademii – skupiam się na swoich odczuciach wobec samych dzieł.)

Pojawia się natomiast w naszym mieście dobry zwyczaj upamiętniania wybitnych ludzi tablicami wmurowanymi na domach, w których mieszkali. Początek dało środowisko plastyczne. Wiele lat dojrzewała myśl uczczenia w ten sposób malarki – Wandy Wereszczyńskiej. Tablicę z portretem artystki, autorstwa Jerzego Filipa Sztuki, odsłonięto na kamienicy przy ulicy Dąbrowskiego jeszcze w ubiegłym wieku. Na początku zaś obecnego stulecia, z inicjatywy Związku Artystów Rzeźbiarzy, w ścianę domu przy ulicy Jasnogórskiej 32 została wmurowana tablica upamiętniająca Stanisława Łyszczarza, malarza i ceramika, który wykładał w częstochowskiej Wyższej Szkole Pedagogicznej (jego dziełem jest m. in. wielka mozaika na zewnętrznej ścianie auli uczelni przy Alei Armii Krajowej). Tablica działa formą i kolorem, godnie przypomina tego sympatycznego, pełnego ciepła, dobrego, życzliwego człowieka. Będzie okazja pisać o nim jako o artyście, bo przygotowuje się w Miejskiej Galerii Sztuki dużą wystawę dorobku Stanisława Łyszczarza i jego córki, Blanki. (Autorem tablicy jest Jerzy Kędziora.)

Skoro wspominamy artystów już nieżyjących, warto pomyśleć, co się dzieje z ich dorobkiem. Powinny być stworzone możliwości jego właściwego zabezpieczenia i udostępniania. To mogłoby być jednym z zadań stałej galerii twórców częstochowskich, której utworzenie proponuje Piotr Głowacki w wypowiedzi dla „Alej 3”. Aby nie działo się tak, jak na przykład z artystyczną spuścizną Józefa Mączyńskiego, która uległa rozproszeniu, a nawet zniszczeniu. Jedynie małą jej część udało się zebrać doktorowi Jaśkiewiczowi w kolekcji Muzeum częstochowskiego.

Łączy się z tym sprawa archiwum związkowego, ważna nie tylko dla historyków i miłośników sztuki przeszłości, ale też dla artystów tworzących współcześnie. O ile wiem, Okręg Częstochowski ZPAP nie ma takiego archiwum z prawdziwego zdarzenia, nie ma dokumentacji, do której mógłby sięgnąć badacz zainteresowany twórczością konkretnych artystów. A szkoda!

Władysław Ratusiński

Hura! Znalazłam! Wniknęłam w głąb siebie bezstronnie, acz nie do końca i znalazłam jednak pewną dziedzinę życia współczesnego, która godzi mnie z rzeczywistością. Otóż jest nią moda. Nie rozumiem zdziwienia Szanownych Czytelników.

*„O wieści gminna, ty arko przymierza
Między dawnymi i młodszymi laty...”*

Mało która elegantka ma świadomość więzi jaka łączy obecną modę wbijania stóp w bryły geometryczne z dawnymi laty. Wygląda to tak, jakby ktoś za karę przytwierdził do każdej nogi coś w rodzaju komody. Toż to moda żywcem przeniesiona z teatru antycznego, gdzie aktorzy nosili obszerne szaty, onkosy i koturny. Czaszy to tak zamierzchle, że nawet ja ich nie pamiętam.

Nie pamiętam czasów dużo bliższych. Znam je jednak z przekazu rodziców i zaręczam, że to szczerą prawdą. Otóż w czasie drugiej wojny światowej Wilno było szczególnym miejscem permanentnie wyzwalanym przez jednych spod drugich przyjaciół. Nie wdając się w historyczne szczegóły, bo to ani pora, ani miejsce, przypomnę, że oczywiście roilo się tam od Rosjan. Co znamienitsi stacjonowali z małżonkami i córkami. No i tu zaczyna się zabawa. Mianowicie jaśnie wielmożne damy prześcigały się w zdobywaniu... koszul nocnych, którymi przyozdabiały swoje, często obfite, wdzięki na salach balowych. Tak, tak. To żaden dowcip. Otóż i teraz weszły w modę koszule, co prawda dzienne, za moich młodych lat zwane halkami. Jedyną różnicę stanowi fakt, iż spod jednych ramiączek muszą bezapelacyjnie wystawać inne. W bardziej wysublimowanych modelach któreś z nich musi bezwarunkowo wisieć i „dyndać w atmosferze”.

Czyż to nie oczywisty, niepowtarzalny alians międzywiekowy? Zatoczyliśmy wielkie koło historii na przykładzie tak błahej i banalnej sprawy

jak damska moda. Nie wiem, czy warto było, bo zgodnie z twierdzeniem Oscara Wilde’a moda jest czymś tak obrzydliwym, że trzeba ją zmieniać co pół roku. Ale za to jaka frajda!

No, ale wróćmy do spraw nieco poważniejszych, związanych z kulturą. Bardzo chwalebną inicjatywą naszych rządzących jest ogłoszenie roku 2001 Rokiem Kultury. Tylko co to znaczy? Że Polacy nagle staną się kulturalni? Jeśli tak, to politycy już parę miesięcy zmarnowali, obrzucając się w debatach telewizyjnych (zapewne i w innych, dla nas niedostępnych) wyszukany inwektywami. A może będzie więcej pieniędzy na szeroko rozumianą kulturę? W taki absurd nie wierzę! Ale jednak coś uchwalono: będziemy mieli zawodowych, dyplomowanych mistrzów mowy polskiej. Tylko czy będą mieli coś do powiedzenia?



A jeśli już wspomniałam o politykach, to chciałabym wiedzieć, co oznacza określenie **Platforma** Obywatelska? Chyba chodzi o to, że kto się na niej zmieści, choć właściwsze byłoby młodzieżowe określenie „kto się załapie”, ten dojedzie na niej do wygranych wyborów. Nieodparcie przychodzi mi na myśl ongiś bardzo modne zagadnienie filozoficzne – ile diabłów zmieści się na ostrzu szpilki... Nie ukrywam, że będę śledzić tę podróż, choć efekt jest do przewidzenia, bo jak powiedział Franz Kampfhau: „Istnieją dwa rodzaje pasterzy: jednych interesuje wełna, drugich – mięso; owcami nie interesuje się nikt”.

A wracając do naszej ukochanej telewizji, to rozumiem, że nie ma ludzi nieomylnych, ale błędy trzeba naprawiać szybko i publicznie za nie przeproszać. Otóż w czołówce jednego z naszych seriali pojawiają się wize-

runki aktorów oraz ich imiona i nazwiska. Jakież było moje zdumienie, gdy pod urodziwym obliczem dobrze wszystkim znanej śpiewającej aktorki pojawiło się imię Beata. Najpierw pomyślałam sobie, że pani Katarzyna ma siostrę bliźniaczkę ukrywaną dotąd przed oczyma widzów, potem, że to sobowtór(ka) noszący(a) przypadkiem to samo nazwisko, wreszcie, że może jednak udało się sklonować człowieka... Wizja wstrząsająca, choć, gdyby takie egzemplarze miały powstawać ...

A, prawda, przecież nie było jeszcze nic o naszym mieście. Tu jednak zdarzają się cuda. Otóż opinię publiczną zelektryzowała wieść, że w auli o. Kordeckiego na Jasnej Górze wystąpi znany i lubiany zespół dziecięcy Arka Noego. Niestety, błysnęło i zgasło. Zanim ten fakt dostał się do wiadomości publicznej – śladu już nawet nie było po kartach wstępu. Za to, kto był w miarę przedsiębiorczy i zapaściwy mógł na własne (no bo niby czyje) oczy zobaczyć jasnogórskie krówki. Nie, nie w szopce, tylko zawinięte w biało-niebieskie papierki. Do zakupu tychże (krówek, nie papierków) zachęcała Claromontana i Fundacja Jasna Góra. Smacznego!

Powodów do dumy mieszkańcom Częstochowy przysporzył również hotel „Patria” – najlepszy w Polsce! Z miejscowej prasy dowiadujemy się, że „...portier hotelu „Patria” ma nie lada problem, ponieważ od kilku dni hotelowe **włóścia** powinien otwierać ogromnym, złotym **24-karatowym kluczem**”.

Naturalną kolejną rzeczą od prasy przechodzę do książek. Tym razem polecam pamiętnik Władysława Szpilmana „Pianista. Warszawskie wspomnienia 1939–1945” oraz prawdziwą perełkę: Wisławy Szymborskiej „Począta literacka czyli jak zostać (lub nie zostać) pisarzem”. Są to odpowiedzi na listy publikowane niedługo w tygodniku „Życie literackie”.

No i oczywiście w wolnej chwili trzeba zobaczyć, co się dzieje w „Alejach”.

Elżbieta Bułhak

Teatr Młodego Widza
w Krakowie,
sezon 1952/53
Józef Bliziński
„Pan Damazy”;
Zbigniew Bebak –
Genio Bajdalski.



Wspomina

ZBIGNIEW BEBAK

JAK TRAFIŁEM DO CZĘSTOCHOWY? PRZEDTEM PRZEZ kilka lat byłem w Opolu i tam nas przydybał młody potencjalny dyrektor Teatru Częstochowskiego – Bogdan Michalik, polecany nam przez naszego byłego opolskiego dyrektora Husakowskiego, który twierdził, że warto inwestować w Michalika swoją pracę twórczą, że warto spróbować mu pomóc. Spróbowaliśmy – w rezultacie osiem osób przyszło do Częstochowy. Była to taka inwazja nowej kadry aktorskiej. Ze starszych kolegów wtedy był jeszcze Kazimierz Zieliński, a my wszyscy przyszliśmy tu nowi, w podobnym wieku. Przyszli wtedy bardzo interesujący aktorzy, bardzo dobrzy, moim zdaniem. Szkoda, że potem niektórzy poodchodzili. Starej kadry, takiej zasiedziałej, do której się podchodzi z pełnym szacunkiem, to właściwie nie było. Kazio Zieliński był, ale nie obnosił się, że on jest tym nestorem, był cichy i pokornego serca. Były świetne aktorki: Gallówna, Danjelówna, Koehler, Pasierbówna, Szmoniewska.

Te pierwsze lata Bogdana Michalika wydają mi się bardzo twórcze i ciekawe. On sam miał bardzo, moim zdaniem świetne inscenizacje, takie jak „Zmierzch”, „Opera za trzy grosze”, „Bal

manekinów” i inne, które warto było obejrzyć, a przede wszystkim w nich grać, a to właśnie nas spotkało. To były te pierwsze lata częstochowskie. Potem Bogdan Michalik wyjechał za granicę i nie wrócił. W tym czasie, kiedy on jeszcze był, uzgodnił z wojewodą, żeby w razie jego nieobecności zwracać się do mnie. Kiedy więc on zniknął, zapytano mnie, czy ja bym nie chciał wziąć tej dyrekcji. Powiedziałem, że nie, bo miałem już nie najlepsze doświadczenia z mojej dyrekcji w Kaliszu, gdzie zrezygnowałem dość prędko i powiedziałem sobie, że już nigdy więcej. Zaproponowałem Jana Maciejewskiego, który w tym czasie reżyserował u nas. Maciejewski się zgodził, ale w ostatnim dniu rozmyślił się i powiedział jednak „nie”. Tym razem zaproponowałem Tadeusza Kijańskiego i to się udało. Kijański przez kilka lat prowadził teatr, moim zdaniem bardzo ciekawie. Miał bardzo ambitne plany połączenia różnego rodzaju sztuk, bo i plastyka tam miała być. Nazwał to „Teatr – galeria pokoju”. Potem nagle ni stąd ni zowąd (ja zresztą w tym czasie byłem chory, dość poważnie, uzdrowiono mnie w Zabrzcu u prof. Religi) przyszła wiadomość, że Kijański od jutra nie jest już dyrektorem i jego miejsce zajmie Ryszard Krzyszycha. Znałem go jeszcze z Poznania. Ryszard Krzyszycha był tu przez kilka lat do czasu, aż przyszła pora dyrektorstwa Henryka Talara. Za jego kadencji przeszedłem na emeryturę. Moje kontakty z teatrem Mickiewicza zaczęły się rozluźniać, aż do czasu, gdy nastał na dyrektorskim stolcu Marek Perepeczko, który zaprosił mnie do udziału w „Panu Tadeuszu”. Zresztą być może w porozumieniu z Adamem Hanuszkiewiczem, którego znałem sprzed wielu lat z Krakowa. W „Panu Tadeuszu” zagrałem epizod, bo brano pod uwagę, że przecież jestem człowiekiem znękanym różnymi chorobami i nie mogę sprostać wszystkim zadaniom. Nie mogę, na przykład tańczyć w balecie, aczkolwiek kiedyś podobno tańczyłem nienajgorzej (ale nie w balecie). Potem Hanuszkiewicz mnie poprosił do „Wesela”, które grywamy do dziś, chociaż już z rzadka. Zagrałem też w „Rewizorze”.

Marek Perepeczko okazuje mi nadmierny, jak na moje odczucie, szacunek. Tak, jakbym rzeczywiście był nestorem, co najmniej w wieku Solskiego. Mam zresztą bardzo dobre stosunki z Markiem Perepeczką, lubię z nim rozmawiać, nie czuję się skępowany, tak jak czasem w stosunku do dyrektora. Odnoszę wrażenie, że aktorzy u niego czują się nie tyle pod jego władzą, ile pod jego opieką. Ile razy ktoś zwróci się do

niego z jakimś problemem, on stara się maksymalnie pomóc. Kiedyś zachwyciałem się wspólnym dyrektowaniem Marka Okopińskiego, przed wielu laty w Poznaniu, a potem Bogdana Hussakowskiego. To byli ludzie, u których każdy aktor czuł się nie tylko zauważony, ale doceniony, niemal wyróżniany. To jest jakiś sposób bycia dyrektorów, który sprawia, że człowiek jak najchętniej z nimi pracuje i stara się jak najlepiej pracować, żeby nie sprawić im przykrości – nie pod terrorem, bo tak ma być i już. Marek też jest z tego gatunku.

Gdzie byłem przedtem? W czasie studiów grałem w Teatrze Starym, po studiach zaangażowałem się do Teatru Młodego Widza (dziś Teatr Bagatela), gdzie obsadzany byłem w każdej prawie premierze. Po ośmiu latach zaproponowano mi przejście do teatru w Tarnowie. Byłem tam dwa sezony – reżyserowałem „Cyrulika sewilskiego” (oczywiście w wersji dramatycznej, nie operowej). Był to mój debiut reżyserski, dokładnie 40 lat temu. Potem na jeden sezon przeangażowałem się do Gorzowa Wielkopolskiego, gdzie reżyserowałem dwie bajki, następnie w 1963 r. przenieśliśmy się do Poznania. W Poznaniu co sezon reżyserowałem bajkę, w tym dwie własne. W sumie w życiu wyreżyserowałem 16 premier teatralnych, głównie w Poznaniu (zwłaszcza lubiłem reżyserować bajki, bo lubię widownię dziecięcą i wydaje mi się, że rozumiem jej potrzeby). Potem przenieśliśmy się do Kalisza i byłem tam trzy sezony Cywińskiej. Również grałem bardzo dużo, a kiedy Cywińska przeszła do Poznania, ja przejąłem po niej dyrekcję w Kaliszu. Miałem jednak takie trudności z władzami ówczesnymi, że po jednym sezonie zgłosiłem rezygnację i powiedziałem sobie, że już nigdy więcej. Na jeden jeszcze sezon zostałem w Kaliszu, ze względu na to, że nie chcieliśmy się przenosić z Niemowlęciami – mój syn miał wtedy trzy, cztery miesiące, po czym przenieśliśmy się do Opola, gdzie byłem dziewięć lat. No, a potem przyszła propozycja przejścia do Częstochowy. Przybyłem tu, jak widać, już jako człowiek doświadczony – dorobek artystyczny miałem nie najgorszy.

Spełniam się również pisząc felietony do „Życia Częstochowy”. Wcześniej pisałem w „Dzienniku Częstochowskim” i w „Gazecie Częstochowskiej”. Jeszcze jak byłem nastolatkiem, to uważałem się przede wszystkim za potencjalnego pisarza. Wiersze pisałem, również satyryczne, i to mi dawało dużą satysfakcję

z możliwości wypowiedzenia się. Coś niecoś napisałem również dla teatru, kilkadziesiąt w sumie tekstów piosenek, głównie dla potrzeb teatru. Przełożyłem „Czarodziejską rzepkę”, którą reżyserowałem również w Częstochowie, dla teatrów lalkowych napisałem „Niezwykłe przygody kapitana Guliwera”, niedawno „Baśń o złotej rybce” według Puszkina, teraz kończę farsę opartą na motywach starej francuskiej komedii. Zrobiłem adaptację sceniczną powieści Kornela Makuszyńskiego „Przyjaciel wesołego diabła” z muzyką Tomasza Kmiecika (otrzymałem zgodę wdowy po autorze, pani Janiny Makuszyńskiej, aby to wystawiać tylko w mojej wersji). Powodzenie to miało dość duże w całej Polsce, w różnych wersjach inscenizacyjnych,

**Państwowy Teatr
Dramatyczny
im. A. Mickiewicza
w Częstochowie
sezon 1992/3
A. Mickiewicz
„Dziady”;
Zbigniew Bebak
– ksiądz Piotr.**



dwie premiery telewizyjne, jedna we Francji, w sumie 24 premiery. Sam wyreżyserowałem to również w Teatrze Polskim w Poznaniu i tu, w Częstochowie.

Tutaj, oczywiście, również dużo grałem. Grałem w „Balu manekinów”, bardzo lubiłem rolę w „Zmierzchu”, w „Operze za trzy grosze”, tam było jeszcze coś do zaśpiewania, a śpiewać lubię i chyba umiem. Tak stwierdziła nasza konsultantka, wybitna specjalistka, pani profesor Krebs – że właściwie ona mi nie ma co poprawiać, bo ja to wszystko robię tak, jak trzeba. Mam pewne przygotowanie muzyczne. Kiedyś, jeszcze jako dziecko, uczyłem się gry na skrzypcach

i fortepianie, a potem, jak już byłem na studiach teatralnych, wysłano mnie i moją młodszą koleżankę, Kalinę Jędrusik, do szkoły muzycznej na wydział wokalny. Nie trwało to zbyt długo, bo oboje nie nadaliśmy z przedmiotami teoretycznymi i z klasą fortepianu – po prostu nie było na to czasu, równocześnie były studia aktorskie. Zrezygnowaliśmy ze szkoły muzycznej, ale pani profesor Modrakowska, która nas prowadziła wokalnie, mówiła: Przychodźcie do mnie prywatnie, nie chcę absolutnie ani grosza, ale szkoda marnować głosu. Chodziliśmy więc do pani profesor na lekcje śpiewu, tak, że pewne pojęcie o śpiewie mam i w „Operze za trzy grosze” (i nie tylko) miałem sporą satysfakcję również z tego, co się udało zaśpiewać. W Częstochowie grałem jeszcze w „Zemście”, „Wesołych kumoszkach z Windsoru”... Może ja się chwalebę za bardzo? No, ale pod koniec życiorysu artystycznego to już można. Zawsze twierdziłem, do niedawna, że jeszcze wszystko przede mną – nie grałem jeszcze króla Leara, ale coraz mniej mi się chce zagrać. Gdyby mi zaproponowano, to pewnie bym już nie udźwignął tej roli – artystycznie tak, ale czy fizycznie?

Tak, w Częstochowie już zostanę – i miasto mi się podoba i mam tu swoją publiczność. Teraz już, co prawda, mało ludzi chodzi do teatru, a jeżeli chodzi, to młodzież. Zdarza się, że ludzie mnie rozpoznają, ale to częściej z prasy. Nawet sprzedawczynie w pobliskim sklepie osiedlowym (a mamy dwa) mówią: O widziałyśmy pana zdjęcie w gazecie i felieton. No to ja mówię: Co tydzień tam jest. Tak, że rozpoznają mnie ze zdjęcia raczej, a do teatru rzadko chodzą. Wiadomo, że na farsy takie jak „Mayday” czy „Szczęściarz” chodzą, bo to bardzo śmieszne. Takie pozycje jak „Pan Tadeusz” czy „Wesele” rzadko grywamy wieczorem, bo nasze „służby specjalne” w sensie organizacji widowni robią rozpoznanie – jeżeli nie zanoszą na to, że będzie na widowni trochę więcej ludzi, to nie organizują tego przedstawienia. W dobie obecnej to musi się opłacać – jeżeli jest spektakl duży, rozbudowany, a przez to i kosztowniejszy, to jeśli to się nie zwróci, nie warto ryzykować. Dawniej się grało nawet dla niewielkiej widowni, bo to jest posłannictwo, a nie tylko interes, a teraz to jednak głównie interes.

W moim życiu zawodowym czterokrotnie otrzymałem propozycje zaangażowania się do Warszawy. Odmówiłem. W końcu wybrałem Częstochowę.

Wysłuchała Małgorzata Kaczanowska

Teatr
im. W. Bogusławskiego
w Kaliszu, sez. 1972/73;
Gabriela Zapolska
„Ich czworo”;
Halina Łabonarska – Mańka
i Zbigniew Bebak – Mąż



Fot. Grażyna Wyszomirska

KALINA JĘDRUSIK (5.02.1931–7.08.1991)

Czas przybliża, czas oddala

Barbara Szymańska

„Lubię konwalię, bo są biało-zielone jak moje życie. Białe, tyle w nim naiwności. Zielone, tyle w nim nadziei.”

K. Jędrusik

BARDZO CZĘSTO ZADAJEMY SOBIE PYTANIE – KIM był człowiek, który odszedł? O Kalinie Jędrusik-Dygał możemy powiedzieć, że była aktorką wszechstronnie utalentowaną, jedną z największych gwiazd swego pokolenia.

Miałam szczęście i zaszczyt poznać Kalinę Jędrusik osobiście. Spotkałyśmy się w Krakowie pod koniec lat osiemdziesiątych. Była już wówczas bardzo chora. Chorowała na astmę. Wyjątkowo mocno utrwaliło mi się to spotkanie. Chętnie i długo gawędziła. Była naturalna, bezpośrednia, pogodna. Cieszyły ją nowe znajomości. W książce Piotra Gacka „Kalina Jędrusik. Muzykalność na życie” pięknie i czule wspomina aktorkę Magda Umer: „...bardzo wiele razy pomogła mi w życiu, w takich bardzo prywatnych sprawach. Opiekowała się mną. Miała tak szeroko otwarte serce i ramiona, i duszę, i umysł...”

Urodziła się 5 lutego 1931 roku w Gnaszynie koło Częstochowy (obecnie dzielnica Częstochowy). Ojciec Kaliny, Henryk Jędrusik, był znanim, szanowanym pedagogiem i cenionym intelektualistą. Przez wiele lat pracował jako kierownik szkoły powszechnej w Gnaszynie.

Kalina była chorowitym i bardzo delikatnym dzieckiem, dlatego nauka często odbywała się w domu. Od najmłodszych lat przejawiała bystry i bardzo przenikliwy umysł. Wielkim autorytetem był dla niej ojciec. Uczył ją łaciny, angielskiego i francuskiego. Często przynosił do domu książki filozoficzne i zachęcał córkę do ich czytania. Jako licealistka, Kalina zafascynowana była prozą Stanisława Dygata.

Mimo kruchego zdrowia od najmłodszych lat marzyła o aktorstwie. Jej młodzieńcze marzenia spełniły się, gdy zdała egzaminy wstępne do krakowskiej Państwowej Wyższej Szkoły Teatral-



nej. Od tej chwili rozpoczął się nowy i bardzo ważny rozdział w życiu Kaliny Jędrusik.

Radosna, uszczęśliwiona i pełna energii rozpoczęła naukę w Krakowie. Aktorstwa uczyli ją

wybitni profesorowie: Irena Babel, Lidia Zamkow, Wanda Szczuka, Waław Nowakowski. Wspaniale czuła się w gronie kolegów, jak się później okazało wielkich indywidualności: Zbigniewa Cybulskiego, Bogumiła Kobieli, Tadeusza Śliwiaka, Leszka Herdegena, Konrada Swinarskiego.

Po ukończeniu studiów otrzymała angaż do Teatru Wybrzeże w Gdańsku. Debiutowała w sztuce Musseta „Nie igra się z miłością”. Z miastem tym wiązała duże nadzieje na przyszłość. I nie pomyliła się. Na deskach teatru dała się poznać jako aktorka obdarzona dużą inteligencją sceniczną. Tutaj również poznała wybitnego felietonistę, dramaturga, autora „Jeziora Bodeńskiego” i „Pożegnań” – Stanisława Dygata. Los obdarzył ją mężczyzną, który był dla niej mężem, przyjacielem, opiekunem i partnerem.

Po przyjeździe do Warszawy w roku 1955 Jędrusik związała się z Teatrem Narodowym. Pracę artystyczną rozpoczęła rolą Zofii w „Oстрым dyżurze” Jerzego Lutowskiego. Występowała również w teatrach: Współczesnym, Komedii, Rozmaitości i Polskim. Zagrała wówczas bardzo wiele świetnych ról, zarówno w teatrze, jak i w filmie.

Wielkie uznanie zdobyła występując w słynnym „Kabarecie Starszych Panów”, telewizyjnym programie Jerzego Wasowskiego i Jeremiego Przybory. Była niewątpliwie gwiazdą tego niepowtarzalnego Kabaretu. Jeremi Przybora nazwał ją „pierwszą damą piosenki lirycznej”.

Pojawianie się Kaliny Jędrusik na małym ekranie często wywoływało duże emocje. Szokowała strojem, śmiałym makijażem, stylem bycia i uwodzicielskim spojrzeniem. Mimo to budziła podziw i zachwyt. Nagradzano ją Złotymi i Srebrnymi Maskami.

W tym okresie Kalina i Stanisław Dygato wie prowadzili bogate i ożywione życie towarzyskie. Dom państwa Dygatów był przystanią dla pisarzy, aktorów i twórców. Salon ich odwiedzali m.in.: Tadeusz Konwicki, Julian Strykowski, Gustaw Holoubek, Wiesława Czapińska, Kazimierz Kutz, Krzysztof Kąkolewski, Halina Frąckowiak.

29 stycznia roku 1978 Kalina Jędrusik przeżyła wielką tragedię. Na zawał serca zmarł Stanisław Dygat. Nigdy nie pogodziła się z odejściem ukochanego Stasia. Do końca swoich dni dbała o to, aby nie zgasła pamięć o mężu. Wielką zasługą aktorki jest to, iż zebrano i wydano „Dzieła wszystkie” Dygata, nawet te rozproszone po czasopiśmie.

W latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych coraz bardziej oddalała się od teatru, filmu i telewizji. Postępująca choroba spowodowała wycofanie się aktorki z życia artystycznego. Jednak mimo wielu problemów, trudności i kłopotów osobistych, do końca pomagała wszystkim potrzebującym.

Kalina Jędrusik zmarła 7 sierpnia 1991 roku w Warszawie.

To, co pozostawiła żyje nadal. Przetrwiała w filmach, spektaklach teatralnych, piosenkach, a przede wszystkim w pamięci nas wszystkich.

Wybrane role teatralne Kaliny Jędrusik

- 1954 – „Nie igra się z miłością” – Kamilla (reż. Hugon Moryciński)
- 1955 – „Ostry dyżur” – Zofia (reż. Erwin Axer)
- 1957 – „Nasze miasto” – Rebeka (reż. Erwin Axer)
- 1958 – „Opera za trzy grosze” – Polly (reż. Konrad Swinarski)
- 1965 – „Śniadanie u Tiffany’ego” – Holly Golightly (reż. Jan Biczyski)
- 1966 – „Tabu” – monodram (reż. Jerzy Markuszewski)
- 1977 – „Lato w Nohant” – George Sand (reż. Wojciech Solarz)
- 1986 – „Damy i huzary” – Panna Aniela (reż. Andrzej Łapicki)

Wybrane role filmowe Kaliny Jędrusik

- 1958 – „Kalosze szczęścia” – Sonia (reż. Antoni Bohdziewicz)
- 1964 – „Upał” – Zuzanna (reż. Kazimierz Kutz)
- 1965 – „Lekarstwo na miłość” – Joanna (reż. Jan Batory)
- 1967 – „Jowita” – Helena (reż. Janusz Morgenstern)
- 1968 – „Lalka” – Pani Wąsowska (reż. Wojciech Has)
- 1974 – „Ziemia obiecana” – Lucy Zuckerowa (reż. Andrzej Wajda)
- 1981 – „Hotel Polanów i jego goście” – Józefina Polanowa (reż. Horst Seeman)
- 1986 – „Dziewczęta z Nowolipek” – Maria Prymas (reż. Barbara Sas)
- 1991 – „Podwójne życie Weroniki” – Nauczycielka śpiewu (reż. Krzysztof Kieślowski)
- „Ferdynand” – Żona profesora (reż. Jerzy Skolimowski)

Teatrzyk kukielkowy „Klaun”

Paweł Gładys

Teatrzyk powstał w roku 1993. Pomysłodawcą i realizatorem zamierzenia jest kierowniczka filii nr 8 Biblioteki Publicznej, Barbara Kaczmarzyk. Pierwszą instruktorką zespołu teatralnego była Ludmiła Nagłowska, która od trzech lat przebywa na zasłużonej emeryturze. Schedę po niej odziedziczyła Małgorzata Adler, która stara się, aby dzieci pracujące pod jej kierownictwem miały jak najwięcej pracy. Wspólnie z nimi wykonuje dekoracje oraz kukielki. Przygotowanie przedstawienia trwa średnio dwa miesiące. Zadaniem tych spektakli jest promowanie książek dla dzieci, zachęcanie do przeczytania książki o tym samym tytule co przedstawienie, w czasie którego widzowie zapoznają się także z autorem. Czym skorupka za młodu... Nic nie może przeszkodzić dzieciom w czasie spektaklu we wpatrywaniu się w pokrzykującego misia czy kukielkę narratora. Maluchy są pewne, że postacie wyszły właśnie dla nich z książek stanowiących tło sceny (teatrzyk przeważnie oglądany jest w czytelni biblioteki).

Zeby wrażeń było więcej, mali czytelnicy mają konkursy z nagrodami! Po spektaklu pt. „Kubuś Puchatek”, na który byłem zaproszony, odczytano werdykt jury i wręczono nagrody za udział w konkursie na „Projekt znaczka pocztowego” (związanego z książką). Uczestnicy konkursów mogą wygrać książki, farby lub zabawki...

Przedstawienia są niepowtarzalne, a co miesiąc powstają nowe. Teatrzyk wystawia spektakle dla swoich stałych odbiorców. Są to m.in. szkoły specjalne nr 23 i 43, okoliczne przedszkola, a także jedna z restauracji częstochowskich. W listopadzie roku 2000 Klaun nagrał w Radiu Jasna Góra

spektakl, który został podzielony na odcinki i wyemitowany w ramach dobranocek dla dzieci. Z okazji Dnia Dziecka lub zakończenia roku szkolnego teatrzyk wykonuje objazd wszystkich okolicznych przedszkoli. W czasie wakacji i świąt próby ani spektakle nie odbywają się. Trupa nie bierze udziału w konkursach i festiwalach – wyznaczyła sobie inne cele – rozgłos nie jest jej potrzebny.

Przy minimalnych nakładach finansowych ze strony sprzyjających czytelników powstają lalki oraz możliwość poruszania się po mieście z występami. Typy lalek biorących udział w przedstawieniach to: gotowe pluszaki będące replikami postaci ze znanych bajek, kukielki na kijku (tzw. lalka polska), jawaiki (głowa na kijku z rączkami poruszającymi się dzięki przytwierdzonym do nich drucikom), pacynki (lalki nakładane na palce). Zdarza się także, że dziewczynki występują na żywo.

Spektakle odbywają się w warunkach kameralnych z prostej przyczyny – wielkość lalek. Przecież dzieci nie będą oglądać kukielkę przez lornetki. Teatrzyk zaczął działać w małej czytelni. Tam były pierwsze przygotowania odpowiednich dekoracji i tak już zostało. A dorobek artystyczny uzbierał się spory. Przytoczę tylko parę tytułów: „Kopciuszek”, „Świniopas”, „Szewczyk Dratewka”. Wystawiane są również Jasełka i Baśnie Andersena. Wstęp na przedstawienia jest bezpłatny. Sponsorów tu nie ma! A przydałby się remont pomieszczeń...

Dzieci animujące lalki w „Klaunie” to dziewczynki w wieku od ośmiu do piętnastu lat. Większość dzieci występuje rok lub dwa lata, choć niektóre są wytrwalsze – od początku istnienia teatrzyku lalkami operują Joanna i Sylwia. Obsada teatrzyku jest podwójna, gdyż dziewczynki nowe wdrażane są stopniowo. Spektakl nie może być obsadzony samymi nowicjuszami, ponieważ mogło by się okazać, że w ogóle się nie odbędzie – dzieci tak jak dorośli miewają tremę. Próby odbywają się raz w tygodniu w godzinach

popołudniowych. „Próby są dotąd, aż dzieci się przygotowują i wtedy dajemy występ. (...) Dzieci są z kilku szkół podstawowych nr: 1, 42 i 44, także z gimnazjum nr 5. Była także w zespole dziewczynka ze Stradomia” – informuje Barbara Kaczmarzyk. W trupie teatralnej przeważają dziewczynki

fot. autor



z osiedla Tysiąclecie, a wszystkie są czytelniczkami biblioteki.

Przypomnijmy – lalki teatralne pojawiły się około X w. w Chinach. Już wtedy służyły do różnych przedstawień. Od samego początku lalki były poruszane przez animatorów ukrytych (przeważnie) np. za parawanem. Wśród typów lalek, poza wymienionymi wcześniej, można także wyróżnić marionetki – podwieszane i poruszane przy pomocy sznurków (linek). Takie kukielki są największym wyzwaniem dla animatora i konstruktora. Z Chin wywodzą się także lalki znane z teatru cieni – widzowie oglądają przedstawienie cieni lalek na podświetlonym ekranie. Dziś postacie lalek to przeważnie karykatury znanych osobistości i osób publicznych. W Polsce tradycją jest umieszczanie kukielkę w szopkach bożonarodzeniowych. Telewizja pokazuje nam szopkę noworoczną, a maluchy mogą oglądać np. „Ulicę Sezamkową” czy „Muppet Show”. Dzieciom z Częstochowy radzimy wybrać się do biblioteki. W najbliższym czasie planowane są spektakle: „Przygoda z małpeczką”, „Bajka o Królowie Śnieżce i siedmiu krasnoludkach”, „Czerwony Kapturek”, „Bajka o rybaku i złotej rybce” oraz „Kot w butach”. ■

IDOL

Warszawska młodzież ma w Częstochowie swojego idola W książce pt. *Oko smoka. Literatura tzw. pokolenia „brulionu” wobec rzeczywistości III RP* autorstwa Pawła Dunina Wąsowicza (wyd. „Czarna Lampa”) znalazłem arcyciekawy fragment dotyczący wpływu naszego miejscowego pisarza na młode pokolenie literatów:

„(...)Porównując prozę lokatorów *Parnasu Bis* z debiutantami późnego PRL rzuca się ponadto w oczy zupełna dewaluacja pisarstwa jako zawodu. W Polsce Ludowej bycie „młodym pisarzem” mogło być całkiem niezłym sposobem na życie, choćby i obok społeczeństwa. Modelową projekcją młodoliterackiej samorealizacji znajdujemy choćby u Waldemara Gaińskiego (ur. 1951) w opowiadaniu *Tremolo* opublikowanym w almanachu „Wszystkie barwy tęczy” (Iskry, Warszawa 1979). Jego bohater Fredek wałęsa się nocą po mieście, poznaje sympatyczną dziewczynę, która nie ma gdzie iść, idzie z nią do swego skromnego mieszkania, gdzie dziewczyna odkrywa, że Fredek to Alfred Pohoski jej ulubiony młody poeta, którego wiersze już czytywała. Panna sprząta mu mieszkanie, a rankiem przychodzi listonosz przynosząc sygnałne egzemplarze drugiego tomiku wierszy Pohoskiego oraz sześć tysięcy złotych honorarium (historia była opowiadana całkiem serio). Taka kariera była całkiem osiągalna, mógł z niej żartować delikatnie rówieśnik Gaińskiego, Jan Rybowicz (1949-1990) w debiutanckim opowiadaniu *Jak zostałem pisarzem* opublikowanym w 1978 roku w „Nowym Wyrazie”. (...)Debiutanci z lat 90. to wobec Gaińskiego, a nawet Rybowicza realności twardo stąpający po ziemi.(...)”

Czy pan Waldemar pamięta swoje początki tak jak jego bibliografowie? A może warto by już pisać wspomnienia?

CO Z WIFI?!

Legendarny współzałożyciel teatru „WIFI” Artur Witoszek prosi o kontakt wszystkich satyryków częstochowskich,

chętnych do współpracy przy tworzeniu nowego portalu satyrycznego w sieci internetowej. Telefon kontaktowy 022-613-25-04. Można go też namierzyć w leśniczówce „Pranie”, gdzie urządza spektakle poetyckie dla młodzieży. Tymczasem inni aktorzy tego teatryku – W. Kowalski i J. Filipiński zaangażowali się w organizowanie happeningów pod domem towarowym „Shott” jako „Teatr

ZMIASZA

z Polski”. W styczniowym pod nazwą „Częstochowa drugim Paryżem Europy” zasiedli wraz ze znajomymi do bogato zastawionego stołu i z zachowaniem wszelkich światowych manier i elegancji popijali szampana, zagryzali kawior. Wszystko odbyło się na dworze i na mrozie. Wcześniej aktorzy organizowali akcję „Gorące dziewczyny pod Shottem”. W Walentynki będzie pobijany rekord Guinnessa w całowaniu się na czas. Artyzm (dosyć komercyjny) happeningi tłumaczą zbieraniem funduszy na wielki spektakl plenerowy, planowany na drugą połowę roku. Wielkie rzeczy niestety kosztują. Pewnego wsparcia finansowego udziela restauracja „Stacherczak”.

PRASA

W Bibliotece Głównej w styczniu miała miejsce arcyciekawa wystawa (szczególnie dla dziennikarzy) „Czasopiśmiennictwo Częstochowy XX wieku”. W kilku gablotach pokazano zbiory niemal z całego wieku: od pożółkłych gazet z początku wieku, poprzez prasę okupacyjną, PRL-owską, opozycyjną (z powielaczy) po współczesną i gazetki szkolne. Nie są to oczywiście wszystkie eksponaty, jakie biblioteka przechowuje w swoim przepastnym archiwum, gdyż brakuje tam prasy opisywanej przez nas kil-

ka lat temu, szczególnie satyrycznej. Jest za to satyra sprzed I wojny światowej: „Diabeł”, „Jowisz” itp. Czyżby 100 lat temu nasi protoplaści mieli więcej poczucia humoru? W prasie międzywojennej biją w oczy hasła podobne do dzisiejszych – o prywacie polityków, obojętności społeczeństwa, demoralizacji („Higiena”). Są też pierwsze numery „Niedzieli” z lat 20. i „Czasopismo literackie” z końca lat 30. Okupacyjne „gadzinówki” z obwieszczeniami to mniej chlubny okres miejscowego gazeciarnictwa. Rok 1945 – wszędzie dużo sloganów o pokoju, ONZ i współistnieniu. Prasa podziemna z lat 80. także wyróżnia się spośród innych. W sumie niezły kawałek historii. Są też i nasze poczciwe „Aleje”.

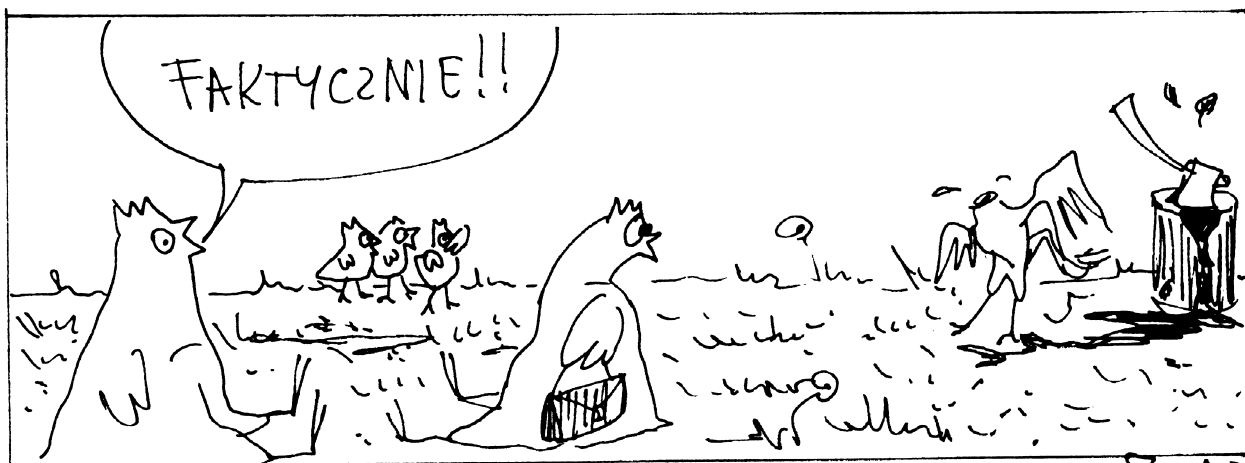
PLEBISCYT

W OKF rozstrzygnięto plebiscyt na najpopularniejszy film roku 2000. Oto pierwsza piątka:

1. „Tańcząc w ciemnościach” – L. Von Trier
2. „Prosta historia” – D. Lynch
3. „Życie jako śmiertelna choroba przenoszona drogą płciową” – K. Zanussi
4. „Dług” – K. Krauze
5. „Million Dollar Hotel” – W. Wenders

W dalszej kolejności znalazły się filmy: „Cube”, „Pi”, „Wojaczek”, „Oczy szeroko zamknięte”, „Ghost Dog”, „Szósty zmysł”. Łącznie typowano 96 filmów, a w konkursie (z nagrodami) przeliczono 282 głosy. Film Duńczyka wygrał zdecydowanie, być może dzięki fanom Bjork. Z powyższego zestawienia widać, że publiczność ośrodka preferuje kino ambitne i poszukujące, dalekie od fajerwerków i efektów specjalnych. Cieszy też obecność kinematografii polskiej. „Złotą piątkę” można było obejrzyć jeszcze raz w drugiej połowie lutego. Warto też odnotować, że przestało istnieć kolejne kino w Częstochowie – „Relax”. Na jedno kino przypada więc w naszym mieście 150 tysięcy widzów. Czy są one w stanie tyle pomieścić? Z niecierpliwością oczekujemy nadejścia ery multipleksów.■

KURA JAKA JEST, KAŻDY WIDZI...



CAN.

Gródwie 2001

Teatralne wojaże

Częstochowski Teatr im. A. Mickiewicza zrealizował w ubiegłym roku zaledwie 22 przedstawienia wyjazdowe. Zaledwie, gdyż w latach minionych bywało nawet dwukrotnie lepiej. Już jednak po zimowych, styczniowo-lutowych, eskapadach (a to z Hanuszkiewiczowskim *Weselem* do Kielc, a to z *Rewizorem* do Teatru Polskiego w Białymostku-Białej) widać, że „Mickiewicz” pragnie pokazywać się na zewnątrz szerzej. Planujemy zwiększenie akcji wyjazdowej do czterdziestu, a być może nawet pięćdziesięciu spektakli rocznie – twierdzą pracownicy teatralnego działu promocji. – Jest ona dla nas niezwykle cenna, ponieważ pozwala zaistnieć częstochochowskiej scenie na arenie ogólnopolskiej. Nie tylko wśród szerszej widowni, impreasariatów i dyrekcji ościennych teatrów, ale także na płaszczyźnie medialnej. Zwłaszcza, kiedy przywozimy do różnych miejsc przedstawienia z udziałem naszego dyrektora Marka Perepeczko.



Spośród przedwakacyjnych wyjazdów najważniejsze dla „Mickiewicza” są dwie prezentacje warszawskie. Pierwsza – z *Weselem* w inscenizacji

Wiadomą rzeczą jest, że gdy teatr wyjeżdża, zwłaszcza z tak dużymi inscenizacjami, nie może w tym czasie grać u siebie. Rodzimych teatromanów



fot. Piotr Dlubak

Antoni Rot w „Pamiętniku wariata” wg Mikołaja Gogola

Adama Hanuszkiewicza – będzie miała miejsce w stołecznym Teatrze Nowym już 16 marca z okazji stulecia prapremiery arcydramatu Wyspiańskiego, druga – z *Dziennikiem panny służącej* w wykonaniu Jonanny Żółkowskiej – planowana jest w Teatrze na Woli im. T. Łomnickiego 7 kwietnia w ramach festiwalowego cyklu „Wielcy aktorzy w małych formach”. Oprócz tych niezwykle prestiżowych realizacji częstochochowski teatr „namawia” się już do pokazania w Teatrze Muzycznym w Gliwicach *Rewizora* i śpiewogry *Na szkle malowane* oraz Gogolowskiej komedii w Teatrze im. J. Szaniawskiego w Płocku i Teatrze Powszechnym im. J. Kochanowskiego w Radomiu. Oprócz *Rewizora* największe zainteresowanie wśród pozaczęstochochowskiej publiczności wzbudza słynne góralskie widowisko Ernesta Brylla i Katarzyny Gaertner wyreżyserowane przez Krystynę Jandę. Dlatego też *Na szkle malowane* zostanie jeszcze przed wakacjami zaprezentowane publiczności kieleckiej, ciechanowskiej, wrocławskiej i – być może – także warszawskiej.

należy jednak uspokoić: dziura repertuarowa raczej nam nie grozi. Wypełnią ją bowiem przedstawienia specjalnie do Częstochowy zaproszone. Już 9 marca wieczorem na scenie przy ul. Kilińskiego zagości słynny musical *Chicago* z gliwickiego Teatru Muzycznego z udziałem znakomitej wokalistki jazzowej Ewy Urygi i znanej aktorki Katarzyny Jamróz. Ten sam teatr w drugiej połowie kwietnia przywiezie do nas operetkową wersję baśni o Królowej śniegu, a Teatr Szaniawskiego w Płocku zawita z prawdziwym scenicznym horrorem zatytułowanym *Dracula*. Tytuł ten może okazać się niezwykle atrakcyjny dla młodych odbiorców, bowiem muzyczną warstwę widowiska buduje tutaj grający *na żywo* zespół rockowy. Impresaryjną działalność „Mickiewicza” w tym sezonie dopełni sugestywnie zrealizowane i ładnie plastycznie zakomponowane przedstawienie *W małym dworku* Stanisława Ignacego Witkiewicza zaproszone na początku maja z Teatru Kochanowskiego w Radomiu.

RoD



ul. Kilińskiego 15, tel 324 83 46
Internet: www.bigduo.pl
www.teatry.art.pl

- 1 czwartek 11.00** *Ania z Zielonego Wzgórza* – scena duża
2 piątek 11.00 *Ania z Zielonego Wzgórza* – scena duża
3 sobota 19.00 *Mayday* – scena kameralna
4 niedziela 19.00 *Mayday* – scena kameralna
6 wtorek 11.00 *Ania z Zielonego Wzgórza* – scena duża
7 środa 11.00 *Ania z Zielonego Wzgórza* – scena duża
8 czwartek 11.00 *Ania z Zielonego Wzgórza* – scena duża
9 piątek 19.00 *Dzień Kobiet w Teatrze Chicago* – Teatr Muzyczny z Gliwic – scena duża
10 sobota *Na szkle malowane* – Gliwice
11 niedziela 19.00 *Na szkle malowane* – scena duża
13 wtorek 10.00 *Wesele* – scena duża
14 środa 10.00 *Wesele* – scena duża
15 czwartek 9.00, 11.00 – *Pamiętnik wariata* – Histrion
16 piątek *Wesele* (w 100-lecie prapremiery) – Warszawa
17 sobota 19.00 *Pamiętnik wariata* – Histrion
18 niedziela 19.00 *Pamiętnik wariata* – Histrion
20 wtorek 9.00 *Kot w butach* – scena duża
21 środa 9.00 *Kot w butach* – scena duża
24 sobota 19.00 *Romanse i ballady* – PREMIERA – scena duża
25 niedziela 19.00 *Romanse i ballady* – scena duża
27 wtorek 9.00, 12.00 *Romanse i ballady* – scena duża
28 środa 9.00, 12.00 *Romanse i ballady* – scena duża

- 29 czwartek 10.00** *Romanse i ballady* – scena duża
30 piątek 10.00 *Romanse i ballady* – scena duża
31 sobota 19.00 *Na szkle malowane* – scena duża
1.04. niedziela 19.00 *Na szkle malowane* – scena duża



Częstochowa,
ul. Wilsona 16,
tel. 324 42 30

- 8.03. godz. 19.00** Koncert dla Pań – sala koncertowa. Orkiestra Symfoniczna Filharmonii Częstochowskiej, Maciej Niesiołowski, Wiktor Zborowski.
10.03. godz. 17.00 Koncert zespołu „Ich Troje” – sala koncertowa.
15.03. godz. 18.30 Kabaret Krzysztofa Piaseckiego – sala koncertowa (Polski Związek Głuchych).
16.03. godz. 9.00 Koncert szkolny „Malowane dźwiękiem” – sala koncertowa. Orkiestra Symfoniczna Filharmonii Częstochowskiej, Aleksander Gref – dyrygent. J. Haydn – *Symfonia D-dur nr 101 „Zegarowa”*, M. Musorgski – *Obrazki z wystawy*, C. Debussy – *Popołudnie Fauna*.
18.03. A. Strindberg „Panna Julia” – premiera – sala kameralna. Reż. Katarzyna Deszcz. Obsada: Agata Hutyra, Czesława Monczka, Marek Ślosarski.
19-23, 26.03. Audycje muzyczne dla dzieci „O instrumentach, o mydle i o Grzesiu Straszydłe”
23.03. godz. 19.00 Koncert dyplomatów Zespołu Szkół Muzycznych w Częstochowie – sala koncertowa. Orkiestra Symfoniczna Filharmonii Częstochowskiej, Tomasz Chmiel – dyrygent, Damian Cieślak – gitara, Jolanta Iwaniuk – skrzypce, Artur Janda – fortepian, Dagmara Knorr – flet, Liliana Krzemińska – skrzypce, Sebastian Olejniczak – klarnet, Rafał Sambor – fortepian, Karolina Zjawiona – obój.
30.03. godz. 19.00 Koncert symfoniczny – sala koncertowa. Orkiestra Sym-

foniczna Filharmonii Częstochowskiej, Tadeusz Wojciechowski – dyrygent, Jagoda Sokołowska – flet, Małgorzata Zalewska – harfa. L. v. Beethoven – *Uwertura „Coriolan”*, W.A. Mozart – *Koncert podwójny na flet i harfę C-dur KV 299*, R.Schumann – *II Symfonia*.

4.04. godz. 19.00 Koncert symfoniczny – sala koncertowa. Orkiestra Symfoniczna Filharmonii Częstochowskiej, Jerzy Swoboda – dyrygent, Natan Dondalski – skrzypce. W. Kilar – *Orawa*, F. Mendelssohn Bartholdy – *Koncert skrzypcowy e-moll op. 64*, H. Wieniawski – *Legenda*, L. v. Beethoven – *I Symfonia C-dur op. 21*.

07.04. Kabaret Jerzego Kryszaka – sala koncertowa.

20.04. godz. 9.00, 11.00 Koncerty szkolne „Pół żartem – pół serio” – sala koncertowa. Orkiestra Symfoniczna Filharmonii Częstochowskiej, Jan Miłosz Zarzycki – dyrygent, Mieczysław Hłond – fagot. P. Dukas – *Uczeń Czarnoksiężnika*, M. Spisak – *Koncert na fagot*, F. Mendelssohn Bartholdy – *Sen nocy letniej (Marsz weselny)*, G. Rossini – *Uwertura do opery „Sroka złodziejka”*.
23-27, 30.04. Audycje muzyczne dla dzieci „Zwiedzimy dziś mieszkanie nutek”.

GAUDE MATER



Ośrodek
Promocji
Kultury
Częstochowa,
ul. Dąbrowskiego 1
tel. 324 36 38

2.03. godz. 19.00 Koncert jazzowy z udziałem Tomasza Szukalskiego i Piotra Wojtasika.

5.03. godz. 19.00 Program Sceny „Błazen”.

7.03. godz. 17.00 Koncert Zespołu Pieśni i Tańca „Częstochowa” – aula WSP.

16.03. godz. 19.00 wernisaż wystawy rysunku JOANNY JEŻEWSKIEJ-DESPERAK.

19.03. godz. 19.00. Program Sceny „Błazen”.

21.03. godz. 18.00 Proca tomiku wierszy Edyty Załęckiej.

28.03. godz. 18.00 Turniej Jednego Wiersza o Nagrodę Centrum Amatorskiego Ruchu Artystycznego, koncert w wykonaniu uczniów Zespołu Szkół Muzycznych w Częstochowie.

29.03. godz. 19.00 wernisaż wystawy malarstwa TADEUSZA RZEŹNIKA – Galeria Kawiarni „Klub Wiedeński”.

6.04. godz. 19.00 wernisaż wystawy malarstwa JACKA NALEWAJKA – Galeria O.P.K.



BIBLIOTEKA GŁÓWNA

(al. NMP 22, tel. 324-20-95):

1.03. godz. 11.30, 7.03. godz. 11.30, 15.03. godz. 11.30, 22.03. godz. 11.30, 29.03. godz. 11.30 – *Niebezpieczeństwa narkomanii*. Prelekcje lekarzy i terapeutów z MONAR-u i „Betanii” dla młodzieży szkół ponadpodstawowych – II piętro (sala odczytowa).

marzec – Ogłoszenie regulaminu VIII Turnieju wiedzy historyczno-literackiej dla uczniów szkół ponadpodstawowych ph.: „Stanisław Wyspiański – życie i twórczość”. Eliminacje odbywają się w szkołach. Finał konkursu odbędzie się we wrześniu 2001 roku w Ośrodku Kultury, Sportu i Rekreacji w Koniecpolu.

8–31.03. – Wystawa ze zbiorów biblioteki ph.: „... i suknia zdobi kobietę” – hol, II piętro.

21.03. godz. 11.00 – „Dzień dobry wiosno” – program słowno-muzyczny w opracowaniu Małgorzaty Kłoszewskiej i Aleksandry Nabiałek, w wykonaniu dzieci z Zespołu Szkół Muzycznych dla dzieci z częstochowskich szkół podstawowych – II piętro (sala odczytowa).

5.04. godz. 11.30, 19.04. godz. 11.30, 26.04. godz. 11.30 – *Tragiczne skutki AIDS*. Prelekcje lekarzy i terapeutów

z MONAR-u i „Betanii” dla młodzieży szkół ponadpodstawowych – II piętro (sala odczytowa).

25.04. godz. 11.00 – „Czy muzyka opowiada?” – program słowno-muzyczny w opracowaniu Małgorzaty Kłoszewskiej, w wykonaniu dzieci z Zespołu Szkół Muzycznych dla dzieci z częstochowskich szkół podstawowych, II piętro (sala odczytowa).

5–30.04. – Wystawa ph.: „Stowarzyszenie Rodzina Katyńska – 1991-2001” – hol, II piętro.

FILIA BIBLIOTECZNA NR 7

(Aleja Pokoju 16, tel. 323-27-26):

2.03. godz. 10.30–12.30, 9.03. godz. 10.30–12.30, 16.03. godz. 10.30–12.30, 23.03. godz. 10.30–12.30, 30.03. godz. 10.30–12.30 – „W kręgu literatury dziecięcej” – zajęcia dla dzieci z młodszych klas szkół podstawowych.

FILIA BIBLIOTECZNA NR 8

(ul. Księżycowa 2, tel. 361-43-27):

1–31.03. – Wystawa prac plastycznych dzieci ph.: „Bezpiecznie na drodze”.

22.03. godz. 10.00 – Spotkanie dzieci z przedstawicielami policji drogowej.

2–30.04. – Wystawa prac plastycznych dzieci ph.: „Wielkanocne kartki świąteczne”.

FILIA BIBLIOTECZNA NR 9

(ul. Nowowiejskiego 15, tel. 324-53-64):

1.03. godz. 9.30 – Warsztaty poetyckie dla uczniów szkół średnich prowadzone przez mgr Grzegorza Hermana.

15.03. godz. 9.30, 22.03. godz. 9.30 – Lekcje biblioteczne dla młodzieży gimnazjalnej ph. „Wiedza o regionie”.

29.03. godz. 9.30 – „Czy znasz ‘Pana Tadeusza’?” – finał konkursu dla uczniów szkół licealnych.

5.04. godz. 9.30 – „Spotkanie z poezją współczesną” – prelekcja mgr Katarzyny Bodziachowskiej dla młodzieży szkół licealnych.

19.04. godz. 9.30 – „Teatrzyk marzeń” – występ dzieci ze Szkoły Podstawowej Nr 11 dla dzieci ze Specjalnego Ośrodka Szkolno-Wychowawczego Nr 5 w Częstochowie.

26.04. godz. 9.30 – „Czy znasz ‘Pinokia’ Collodiego?” – konkurs dla uczniów

z klas czwartych szkół podstawowych.

FILIA BIBLIOTECZNA NR 20

(ul. Gombrowicza 15, tel. 362-35-87):

5.04. godz. 10.00 – „I my możemy chronić przyrodę” – konkurs recytatorski dla dzieci z klas od zerowych do czwartych szkół podstawowych.

GDZIE KUPIĆ ALEJE?

Poniżej podajemy wykaz miejsc, w których można nabyć **aleje 3**:

Biblioteka Publiczna, al. NMP 22 (hol)

Filharmonia Częstochowska

OPK „Gaude Mater”

Teatr im. A. Mickiewicza

Miejska Galeria Sztuki

Księgarnia „Tania Książka”, ul. Focha

Galeria „Art Caffe”, ul. Focha 16

FUH „MOL” – sklep, ul. Jasnogórska 19



rys. Rafał Grejner

TO NIE JEST TREND

Łukasz Robak

HIP-HOP JEST PRZEZ WIĘKSZOŚĆ mediów dotkliwie pomijany. Wszyscy myślą, że to nic takiego, i że nie warto się tym zajmować. Błąd! Hip-hop to nie tylko mówione słowa, ale również taniec i grafitti. Przez

podziemia postanowiłem się wybrać. W klubie „Wakans” w niedzielny wieczór 28 stycznia miał się odbyć koncert warszawskiego zespołu „Grammatik”.

Wejście do samego „Wakansu” zajęło mi sporo czasu, dlatego że na koncercie pojawiły się tłumy. Impreza rozpoczęła się z godzinnym opóźnieniem, ale nikt z tego powodu nie grymasił. Atmosferę przez ten czas podgrzewał DJ Haem, który puszczał muzykę z gramofonów. Tuż po nim zaprezentowała się częstochowska grupa „Żywe srebro”. Zespół młody, lecz ma już na swoim koncie debiutancką

nia. Czegoś takiego naprawdę dawno nie widziałem. Tłum rymował razem z zespołem, dziewczyny rytmicznie tańczyły, a las rąk tworzył fale zadowolenia. Zespół, jak większość mu podobnych, rymował o zakłamaniu, tolerancji, braku zrozumienia i ich życiu w blokach. Okazuje się, że te słowa docierały do młodych ludzi, którzy z tymi rymami się utożsamiają. Ich problemy okazują się problemami całego pokolenia kilkunasto i dwudziestolatków. Oni widzą i czują chyba więcej niż dorośli. To krzyk i ból, w który musimy się wsłuchać.



Zespół „Żywe Srebro” z okładki płyty „Podpatrzone, podsłuchane”.

samych twórców tej subkultury ruch został nazwany punkiem XXI wieku. Po naszym mieście, jak i całej Polsce, chodzą tłumy młodych ludzi w szerokich spodniach. Czy naprawdę tak trudno ich zauważyć? Jak sami mówią, żyją i tworzą w podziemiu, więc do takiego

płyte. Po ich trzech wyrymowanych piosenkach wreszcie pojawiła się gwiazda wieczoru, czyli „Grammatik”.

Już po pierwszych kilku numerach okazało się, że scena to ich drugi dom. W momencie doprowadzili około 350 osób przybyłych na koncert do wrze-

Muzycznie „Grammatik” zaprezentował przeciętny poziom, ale tu słowa są o wiele ważniejsze. Zdawać by się mogło, że ich muzyka dociera do wąskiego grona słuchaczy, ale ta grupa to już tłum, a hip-hop to nie trend, lecz ogromna subkultura.

Lubię „Aleje”. Pamiętam jak mnie zaskoczyły przy pierwszym spotkaniu, a było to ponad rok temu w bibliotece przy ulicy Nowowiejskiego. Nie wiedziałam o ich istnieniu, a ponieważ mam zwyczaj czytania wszystkiego od stopki poczynając, moje zdumienie było ogromne. Biblioteka Publiczna w moim rodzinnym mieście wydaje swój dwumiesięcznik kulturalny?! A finansuje go Urząd Miejski?! No cóż, przynajmniej, że przeżyłam szok. Na szczęście pozytywne. Chwała Bibliotece i Urzędowi Miejskiemu za to. Od pierwszego spotkania z „Alejami” zostałam ich stałą czytelniką. Czytam je od deski do deski i ciągle żałuję, że chociaż reprodukcji prac Pana Arkadiusza Zajęca nie mogę pooglądać w kolorze. Jako nieoprawnej optymistce pozostaje mi jednak nadzieja, że może kiedyś... Czego Redakcji (i sobie) gorąco życzę.

Do dziś tylko cicho kibicowałam „Alejom”, ale po przeczytaniu w 29. numerze króciutkiego artykułiku „Tania Książka” zagotowało się we mnie co nieco i... przestałam milczeć.

Stwierdzenie, że księgarnia pełni rolę sklepu z tanią odzieżą (mimo, iż często tego typu sklepy odwiedzam i nie widzę powodu do wstydu) zapiekło w środku serca. Kocham książki. Wszystkie. Przez wiele lat, już od wczesnego dzieciństwa, gdy choroby kładły mnie do łóżka lub zamykały w domu pozostawał mi niezawodny przyjaciel – książka. (Pragnę w tym miejscu podkreślić, że w czasach mojego dzieciństwa i wczesnej młodości książki mogły uchodzić za wzór poprawności gramatycznej, ortograficznej i stylistycznej.) Urodziłam się i wychowałam w czasach komunistycznych. Czytałam więc i Brandysa, i Andrzejewskiego, i Mrożka i nie sądzę, żeby któraś z tych lektur wypaczyła mnie w jakikolwiek sposób. Bez względu na ich treść lub autora z każdej można się czegoś nauczyć. Zależy to od nas samych. Spośród wielu nauk mojego Ojca wyjątkowo dobrze

pamiętam jedną: dobrze poznaj zarówno przyjaciela, jak i wroga; tego pierwszego, by wiedzieć dlaczego zostaje twoim przyjacielem, a tego drugiego, by, znając jego mocne i słabe strony, wiedzieć jak z nim walczyć.

Ograniczenie dostępu do książek z poprzedniej epoki nie jest w stanie zmienić lub nawet przyspieszyć zmian w mentalności naszego społeczeństwa. A skoro mamy już demokrację to powinniśmy mieć prawo i możliwość wyboru autora i lektury.

W „Taniej książce” kupiłam niedawno kilka egzemplarzy, powstałego w roku 1994, „Uniwersalnego słownika angielsko-polskiego i polsko-angielskiego” profesora Tadeusza Grzebieniowskiego. Za jedyne 14 zł. Dzięki przystępnej cenie zaopatrzyłam w słownik rodzinę uczącą się owego języka i siebie samą. Nadmienię przy tym, że czuję się niezmiernie dumna, iż mogłam uchronić od przemiatu choć kilka tych „knotów wydawniczych”, jak był uprzejmy nazwać książki z omawianej księgarni /s.b./. To tylko jeden z licznych „ratowanych” przeze mnie tytułów, bo do „Taniej książki” często zaglądam i zawsze kupuję coś, czego w innych księgarniach nie uświadczysz, a jeśli nawet ci się uda, to w zdecydowanie innej cenie.

Cztając wzmiankowany artykułik miałam także i satysfakcję. Bo oto ktoś z niewielkiego Kłobucka docenił wartość jaką niesie książka sama w sobie – to raz. Dwa – doceniają ją także inni: w Bielsku-Białej, w Częstochowie, a nawet w Krakowie (tam gdzie Teatr Stary i pierwsza stolica Polski). Życzę właścicielom księgarni rozwoju sieci w całym kraju. Będą mieli w ten sposób niewątpliwą udział w zwalczaniu analfabetyzmu. Zwłaszcza tego groźniejszego – wtórnego.

Autorowi artykułu pozwalam sobie przesłać w razie szczerzej sympatii i bardzo świeże pozdrowienia.

Wierna czytelniczka

PRZECIWKO ŻYCIU W BAŁAGANIE...

Marek Czarnołęski

*[...] Każdy
w mniej lub bardziej
interesujący sposób stara się
wytłumaczyć swój stosunek
do natury [...]**

Filharmonia Częstochowska eksponowała malarstwo prof. Mariana Stelmasika (1932-1995).

Często postać artysty kojarzymy z osobowością nieuporządkowaną, nerwową, niezdiscyplinowaną, skrajnie niezależną, neurasteniczną i wręcz nieobecną w ziemskim otoczeniu, przemierzającą ludzkie szlaki z rozwianą czupryną, w nie zawsze schludnym odzieniu.

Tak z twórcami bywało i bywa, chociaż nie zawsze ich tzw. artystowski wygląd, zapewnia spotkanie z twórczościami należycie ciekawymi. Myląca powłoka zewnętrzna tak tych początkujących, jak i tych dojrzałych, u przeciętnych obserwatorów życia może wywoływać intrygi i niezrozumienie.

Człowiek, o którym pragnę skreślić te słowa, sztuki nie udawał. Jedynym obliczem świadczącym o wielkości malarza w panteonie współczesnych twórców polskich jest jego sztuka malarska.

Przywiązany do tradycji dobrego wychowania i wykształcenia, przejął takową z domu rodzinnego i uczelni – Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie, w której przebywał wśród wybitnych pedagogów, pamiętających jeszcze młodopolskie czasy początku wieku i rewolucyjne dla plastyki lata międzywojnia.

Marian Stelmasik, uczeń i dyplomant wybitnego malarza pedagoga prof. Czesława Rzepińskiego, samodzielną drogę życia przemierzał również jako znaczącej klasy twórca i nauczyciel. Belfrował w liceach sztuk plastycznych w Jarosławiu, Lublinie. Supraśl. W hierarchii pedagogicznej największą pozycję osiągnął obejmując profesurę na Uniwersytecie Marii Curie-Skłodowskiej w Lublinie, a wcześniej będąc jed-

nym z założycieli obecnego Instytutu Sztuk Pięknych Wydziału Artystycznego na tejże. Pełnił między innymi funkcję dziekana Wydziału Pedagogiki i Psychologii. Artysta swoją twórczość prezentował w ramach wystaw indywidualnych w Rzeszowie, Białymstoku, Lublinie, Krakowie, Warszawie, Zamościu, Jarosławiu. Już po śmierci malarza, od której minęło właśnie pięć lat, dzieła jego zaprezentowały galerie: BWA w Lublinie i obecnie w Filharmonii Częstochowskiej. Dalsze ekspozycje przewidziane są w galeriach: „Kamena” Miejskiego Domu Kultury w Blachowni, Filharmonii Krakowskiej im. K. Szymanowskiego, oraz „JAG” prof. Janusza Gajdy w Puławach.

Spotkał mnie w życiu zaszczyt poznania profesora Mariana Stelmasika, gdyż przez pewien czas odbywałem studia podyplomowe w prowadzonej przez niego pracowni. Zetknąłem się z człowiekiem o niezwykle ujmującej osobowości. Na wystawach lubelskiego środowiska plastycznego ujrzałem obrazy olejne, których ikonografia na wiele następnych lat zawładnęła mymi przeżyciami estetycznymi. Postanowiłem podzielić się nimi z publicznością Częstochowy. I stąd wystawa w akustycznej przestrzeni Filharmonii, która „transportuje” nie tylko dźwięki symfoniczne i koncertowe, ale także te o temperaturze widzialnej, będące odpowiednikami barw i linii.

Kiedy oglądam prace artysty, zastanawiam się jakim był człowiekiem, jakie cechy i struktury psychofizyczne odpowiadały za takie, a nie inne twórcze oblicze profesora? Twórcze..., ale i bardzo ludzkie.

Któż lepiej znał i rozumiał Mariana Stelmasika od najbliższej jego rodziny? Mam tu na myśli siostrę, Marię Obacz, gdyż profesor był samotny. Kochające się rodzeństwo łączyła więź szcze-

* z wypowiedzi prof. Mariana Stelmasika.

gólna. Pani Maria, w żywych i jakże aktualnych wspomnieniach, widzi brata jako małego chłopca zatopionego we własnych rysunkach, jako studenta Akademii, jako człowieka ciężko doświadczonego chorobą. Spotkania ich były zawsze chwilami radości, wypełniane przez oboje lubianymi długimi rozmowami, śmiechem, żartami. Maria Obacz uważa, iż Marian – tak w rozmowie mówi o bracie – do swych obrazów miał stosunek szczególny. Stanowiły jego tajemnicę, coś bardzo osobistego, coś, czym definiował swój stosunek do świata. O twórczości nie lubił rozmawiać. Chciał, aby jego dzieło mówiło samo za siebie. Szczególnie cenił uczciwość, przyjaźń, prawdę i wszystko, co może zawierać się w szerokim rozumieniu tych pojęć. Świat, który go

dzi światem zastanym, a tym jaki próbował realizować (zgodnym z jego systemem wartości). Artysta tworzył z dala od wszelkich mód i koniunkturalizmów, zjawisk, jakim ulega sztuka łatwo zamieniając się w coś nieautentycznego.

„...Marian skończyłby 68 lat. Jak każda śmierć i ta wydaje się przedwczesna i niepotrzebna. Odszedł, pozostawiając po sobie trochę obrazów. Dziś, tych kilka płócien w moim warszawskim mieszkaniu, pomagają mi przetrwać ciężkie chwile samotności, bo wiem, że jest w nich zakłute trochę jego świata ...” – tymi słowami Maria Obacz podsumowała krótkie wyznanie o bracie, gdyż wzruszenie nie pozwoliło na więcej.

Profesora Mariana Stelmasika otaczali współpracownicy w Uniwersytecie – asystenci i stu-



„Nad Wisłą”

otaczał nie spełniał tych standardów. Artysta buntował się przeciwko niemu. Była to postawa autentyczna, powodująca stan frustracji, który powoli, lecz nieubłaganie odbijał się na jego zdrowiu. Wiele osób, które go znały, podkreślało nieograniczone maniery, delikatność, wrażliwość obcą naszym czasom. Różne opisy twórczości prof. Stelmasika nie uwzględniają siły emocji, która emanuje z jego obrazów. Dzieła zawierają, wspólny dla nich wszystkich, element rozdarcia mię-

denci. Równie mu bliscy i potrzebni. On także pragnął poświęcić im swój czas i talent pozamalarski, ale nie pozatwórczy, gdyż nauczanie to swoisty rodzaj uprawiania twórczości.

Któż lepiej od świadka życia profesora w uczelni, adjunkta Wiesława Procia, może dać świadectwo tamtemu czasowi? Pan Wiesław odbierał Mariana Stelmasika jako barwną postać Lublina. Opisanie jej jest ryzykowne, gdyż nie wszystko da się przekazać werbalnie. Można to

porównać do znajomości opisu obrazu, bez osobistego z nim obcowania.

Profesor należał do ludzi nadzwyczaj kulturalnych. Przesiąknięty atmosferą artystycznego Krakowa, usiłował zaszcześcić ją swym uczniom. Nie były to gotowe formułki, ale bardzo trudna, indywidualna praca z każdym, z osobna. Korekty nie zaczynał od suchej i formalnej analizy pracy adepta sztuki, lecz od rozmowy o problemach studentów. Potrafił w każdym rozbudzić niepokój twórczy i dać pewność, iż może profesorowi w pełni zaufać i liczyć na jego pomoc oraz zrozumienie. Marian Stelmasik był obdarzony niezwykłą wprost intuicją, a także jemu tylko danymi, jedynymi relacjami ze światem fizycznym i metafizycznym. Artysta skupiał wokół siebie ludzi, którym ufał bezgranicznie, niektórych tolerował, ale byli i tacy, którzy nie znajdowali u niego zrozumienia. Nie znosił zarozumiałców pewnych swej nieomyślności, uznających samych siebie za wielkich artystów, mających w pogardzie osiągnięcia innych. Musieli oni mieć się na baczności i w obecności malarza nie czuli się najlepiej. Wiedzieli, że szybka, inteligentna riposta lub ostry żart, mogą wytrącić im argumenty lub ich ośmieszyć. Profesor cenił ludzi ambitnych i pracowitych, którzy borykając się z przeciwnościami losu, potrafią dostrzec drugiego człowieka. Był osobą uporządkowaną wewnętrznie. Nie chciał cennego czasu tracić na życie w bałaganie. W jego otoczeniu każda rzecz miała swoje miejsce, które było konsekwentnie przestrzegane.

Ostatnie lata życia profesora Mariana Stelmasika, były okresem cierpienia. Rozliczne choroby bardzo go osłabiły i chociaż starał się walczyć do końca, dawnej energii nigdy już nie odzyskał. Był ideowcem wrażliwości. Całe życie malarza można określić mianem walki. Namawiał do niej swych uczniów. Osobisty przykład uważał za najlepszą metodę nauczania. Zdobywał w ten sposób sympatię bliźnich uznawał za największe osiągnięcie swojego życia.

Tęsknił za rozmowami ze studentami. Brakowało mu naładowania wewnętrznego, które poprzez obecność młodzieży zdobywał dla siebie. Po śmierci starszego brata, Mieczysława – historyka sztuki i konserwatora zabytków – stan zdrowia profesora był już ciężki. Wspominał czasy, kiedy był duszą towarzystwa. Włosy miewał wtedy przemalowane na pomarańczowo, a korekty studentom udzielał skacząc po ławkach. Artysta świetnie gotował. Przyrządzone przez niego potrawy miały nie tylko wspaniały smak, ale również dostarczały doznań estetycznych.

„...Kto wie, ile dzisiaj osób broni ideałów profesora tylko dlatego, iż kiedyś w przeszłości miało szczęście spotkać się z nim osobiście?...” – z nadzieją wyznał Wiesław Proć. Mając powyższą wiedzę, można bez obaw o ewentualne nieprzyzwyczajenie przesłania dzieł Mariana Stelmasika przystąpić do ich degustacji. Tworzą harmonijną, acz żywiołowo-ekspresyjną i potężnie liryczną rodzinę. Wspomniałem już o zaszczytnym miejscu twórczości prof. Stelmasika wśród najbardziej kreatywnych polskich postaci artystycznych. Trudno przekładać jego język malarski na język narracyjny, literacki. Tchnęło by to wręcz popularnym banałem pytania: „co artysta chciał przez swe prace powiedzieć?” Nie zawsze za wszelką cenę warto dociekać złudnej prawdy o twórczości. Bywa, że sam artysta dokonuje twórczych odkryć niecelowo, intuicyjnie, a podziwiana przez widzów wyjątkowość i bezcenna ich jakość wywołują niepotrzebne emocje. Zjawisko to obecne jest w zetknięciu ze sztuką współczesną, w której nie istnieją już ani świętości, ani obszary tabu. Nawet jej cechy pozatwórcze uznawane są za sztukę. Nie usiłuję nawet analizować poszczególnych układów kompozycyjnych i barwnych dzieł Stelmasika. Nie potrafię odpowiedzieć na pytania: dlaczego takie ekspresyjne i kontrastowe barwy, kontury-plamy otwartych kompozycji posiadają ustalony i narzucony przez artystę azymut i porządek? Co wyrażają biologiczne, ostre i płynne formy abstrakcji? Elementy budujące dzieła Stelmasika przypominają jakieś realne formy, ale dzięki wyobraźni artysty spełniają nowe funkcje. Istnieją tylko i wyłącznie na płótnach malarza.

Ta czysto formalna idea, nie związana z żadnym podtekstem treściowym, stanowi siłę i twórczą niepowtarzalność sztuki Mariana Stelmasika. Miniprzewodnikiem, według którego należy poruszać się w kręgu sztuki artysty, niech będzie wypadkowość twórczości profesora wobec artystów mu bliskich i pochodnych. W sztuce Mariana Stelmasika tkwi ładunek erotyzmu zbliżony do motywu aktu u Władysława Jackiewicza, rola koloru bliźniaczo podobna do kreacji Tadeusza Dominika, Rajmunda Ziemskiego, Grzegorza Pabela, struktura wewnętrznych podziałów dzieł pokrewna z linearnością sztuki Jerzego Nowosielskiego, Tadeusza Brzozowskiego, Jerzego Stajudy. Dociekliwemu i zainteresowanemu odbiorcy malarstwa wskazówek aż nadto, a najważniejsze, iż sztuka prof. Mariana Stelmasika usytuowana jest gdzieś pośrodku tej artystycznej galaktyki.■

Anioły magiczne

Czasy są wredne i współplemięcy przeważnie też. Świat realny i ten – dla bardzo wielu – ukochną fikcją telewizyjną, zięją ku nam pomorem, makabrą i nadzwyczajnymi spluwami o kalibrach rury kanalizacyjnej, a bombowce złych wieści i przerażenia pikują nieustannie ku naszym biednym oczom, uszom i sercom. Gdzie więc podziąć się w tych wszawych czasach, gdzie szukać wsparcia i pomocy? To oczywiście temat na wiele uczonych rozpraw, ale sądzę, że jednym z jego drobnych odprysków jest moda (bardzo nie lubię tego słowa) na kolekcjonowanie aniołów. O różnym kształcie, wielkości, cenie i kolorze oferują je sklepy i kioski pamiątkarskie, a dla ludzi – jak myślę – może nawet podświadomie, przeważnie stanowią one antidotum doświadczanego tu i ówdzie zła.

Ta niezbyt odkrywcza refleksja towarzyszyła mi w drodze na wystawę obrazów pani Grażyny Lubaszki, o których wiedziałem, że w części stanowią wizerunki różnych, przeważnie szelmowskich i poetyckich postaci wyposażonych przez artystkę w anielskie skrzydła. Na miejscu, jak to bywa, okazało się nie zupełnie tak.

Pani Grażyna jest absolwentką Instytutu Wychowania Plastycznego WSP w Częstochowie, gdzie w roku 1985 otrzymała dyplom z grafiki. Nie mając pracowni, w której mogła by się czuć niezależna, obrała azymut ku malarstwu. Mając pod bokiem silną indywidualność artystyczną, jaką jest jej mąż, Tomasz, malarz, i nie zamierzając pozostać „artystką przy mężu”, postanowiła wywalczyć swoją pozycję pracą. Świadoma tego jak wiele musi się nauczyć, zaczęła od wypróbowanej szkoły techniki malarskiej, od robienia kopii.

Ta drobnej budowy kobieta o radośnie melancholijnym spojrzeniu w pokorze spierała się z niuansami malarskiej materii, a przy tym konsekwentnie i z niezwykłym uporem. Po malowaniu kopii przyszedł czas na martwą naturę. Każdy nowy obraz był krokiem ku temu, co chciała robić w artystycznym życiu najlepiej. Kiedy już doszła do wniosku, że coś potrafi, wówczas zaczęła szukać własnego znaku plastycznego, którym przekazywałaby sprawy i nastroje bliskie swej duszy. I tak zaczęło się na jej obrazach opowiadanie o świecie w subiektywny – ale jakże wciągający nas w tę grę – sposób, wzruszanie; mówienie o ludziach, sytuacjach, sentymentach dzieciństwa, zapachach i bajkach.

Ludzie chcą mieć te obrazy, a to dla artysty ważny wyznacznik potwierdzający słuszność wyboru drogi twórczej. Bo „Lubaszkowy” anioł, to ktoś bliski, kto wysłucha naszych najskrytszych szeptów, skrzydłami otuli i ogrzeje w czas chłodu i zawiei.

W lutowe popołudnie przywiodła pani Grażyna na wystawę do OPK „Gaude Mater” w Częstochowie całą czeredę swoich aniołów wraz z paroma diabłami – dla równowagi, w większości mniejszych formatowo, z czego kilka wypożyczono od prywatnych kolekcjonerów. Było wielu gości dzielących radość artystki i urok jej obrazów, które potwierdzają talent i pracowitą drogę, jaką przebyła, szukając własnego języka wypowiedzi plastycznej. Nieco wprawniejsze oko dostrzegło dwa, może trzy płótna, przy których diabły też miały coś do powiedzenia. Bo gdy się człowiek śpieszy, to się diabeł cieszy.

Anioły, a po części też uskrzydłone postacie na obrazach pani Grażyny – że skupię się na tym co przeważa na ekspozycji – nie emanują słodyczą, nie „cukrują” wszystkiego wokół. Są często nieporadne, nieśmiało prowincjonalne, w rozkładanych kamaszach, niczym debiutujący w swojej roli grajkowie, na ulicy małej miłośnicy oczekujący na nasz grosz rzucony do kapelusza. Inne, zagubione w pejzażu szukają drogi, a jeszcze inne: inteligentne, szelmowskie i wyrachowane nie dają szans nawet diablom, jak chociażby ten z partii szachów.

Widzę tu jeszcze inny, głębszy i ważniejszy sekret tych wizerunków: niektóre pośród skrzydlatych postaci, to właśnie MY, których artystka w łaskawym prezencie na chwilę naszego oglądania wyposażała w skrzydła, zaczarowując na ten przelotny, magiczny moment wiarą, że w zły czas klęski, chandry i beznadziei będziemy mogli sobie po prostu odrzucić na odpoczynek ku Wyspom Szczęśliwym. A sztuka zdolna do takich iluzji musi być sztuką silnych przeżyć.

Tak oto światy: poezji, bajek i rzeczywistości przenikają się w tych obrazach, chuchając ku nam łagodnym zefirkiem optymizmu i nadziei.

Bo przecież funkcją sztuki jest przede wszystkim **czynić człowieka szczęśliwym**, na pewno każdego w inny sposób, ale jednak!

Niech więc spod pędzla pani, pani Grażyno, nieustająco rozwija się przed nami obraz wzruszający swoją poetyką, formą, a także zaskakujący pomysłami. A kiedy będzie musiała pani usiąść z diabłem codzienności do partyjki szachów, niech się pani nie cieszy ze zbyt łatwych wygranych. ■

Janusz Mielczarek



Melancholia, 2000, olej, płótno.







Arkadiusz Zajac – „Schronienie” z cyklu „Illuminatus” ołówek, akryl, 2000